TYDZIEŃ

NR. 47 (71)
ROK II

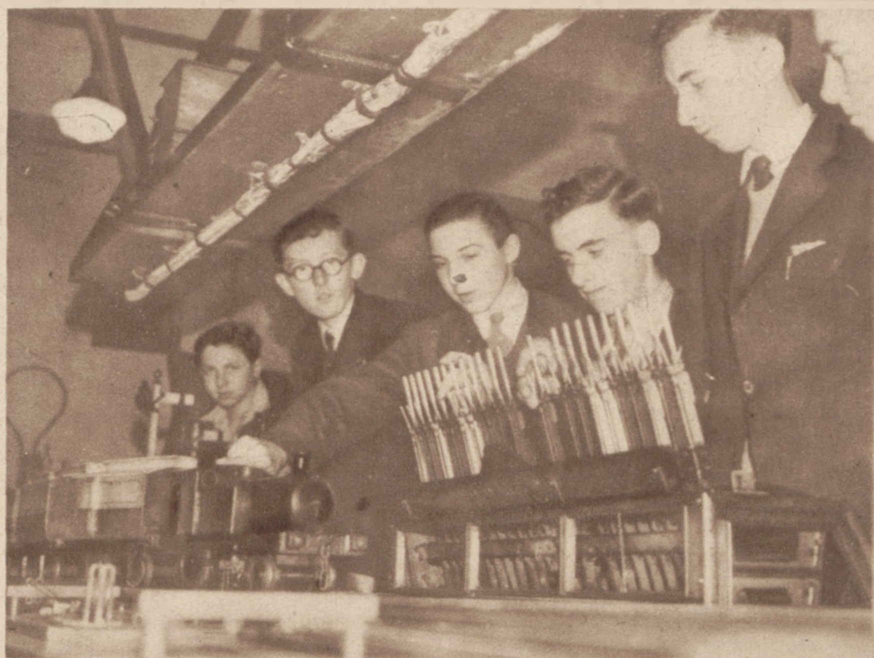
23. XI. 1947
CENA 20 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



DZIŚ W NUMERZE: KOBIETA, MODA I DZIECKO. SEJM SPÓŁDZIELCZY WSPOMNIENIA SKOCZKA SPADOCHRONOWEGO, POCZĄTEK POWIEŚCI I INNE.

Z SZEROKIEGO ŚWIATA



W pobliżu Paddington znajduje się pracownia szkolna, która mogłaby być rajem dla każdego chłopca. Jest to miniatura stacji kolejowej z parowozami, wagonami, zwrotnicami itd. Wszystko to porusza się i działa analogicznie jak „prawdziwe" urządzenia kolejowe.



Wojna zahamowała rozwój telewizji. Obecnie sprawa posuwa się znowu naprzód. New York posiada już 10 tysięcy odbiorników telewizyjnych, z czego 25% w miejscach publicznych. Na zdjęciu widzimy rodzinę przy odbiorniku telewizyjnym.

(Fot. USIS)



Św. Mikołaj mobilizuje już swoje rezerwy na Gwiazdkę. Oto transport lalek przygotowany do wysyłki w fabryce „Społem" w Częstochowie (patrz reportaż wewnątrz numeru).



Podczas kiedy w Europie toczy się zaciekła dyskusja „suknie długie czy krótkie", piękność zuluska nie ma tego rodzaju zmartwień. Obowiązująca ją moda nie zmieniła się



Na wystawie mód w Moskwie cieszyła się powodzeniem ta trójka modeli, której publiczność samorzutnie dała nazwę „Babunia i wnuczęta".

(Foto SIB, Moskwa)



Indie przeżywają potężny wstrząs, wynikający z konieczności zorganizowania życia kraju na nowych podstawach. Przewrót nie obalił dawnych obyczajów zwłaszcza religijnych. Na zdjęciu pielgrzymi wstępują do świętej rzeki.



Coraz większe znaczenie zdobywa sobie w Wielkiej Brytanii Izba Gmin. Na zdjęciu speaker Izby Gmin płk. Clifton Brown w tradycyjnym stroju urzędowym.

(British Photo)

Stanisław Szwalbe

SPÓŁDZIELCZOŚĆ TO WIELKA RZECZ

Zbliżający się pierwszy w Odrodzonej Polsce Kongres Spółdzielczy — walne zgromadzenie członków Związku Gospodarczego „Społem", jest ważnym zdarzeniem ogólno - polskim.



Z trzyletniej praktyki spółdzielczej w nowej Polsce, z ognia dyskusji na tematy spółdzielcze — jeden wniosek jest bez sporny, spółdzielczość **stała się niezbędnym** ogniwem w odbudowie kraju. W odbudowie kraju, opartej na nowych zasadach gospodarki planowej, a więc w jego **przebudowie.**

Na udowodnienie tego zasadniczego stwierdzenia przytoczę takie fakty: sieć spółdzielcza była podstawą dla zapewnienia możliwości funkcjonowania państwowego systemu aprowizacyjnego w kraju w ogóle. Uzdrowienie wymiany w Polsce musi się oprzeć i w przyszłości o ruch spółdzielczy. Postęp gospodarczy wsi polskiej, ugruntowanie jej nowej struktury jest niemal bez reszty zależne od stopnia rozwoju i zaradności ekonomicznej spółdzielczości rolniczej — jak obecnie opartej na gminnej sieci organizacyjnej — Związku Samopomocy Chłopskiej. **Spółdzielcze** „Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane" było zaczątkowym i pierwszym w kolejności aparatem państwowej polityki inwestycyjnej w Stolicy, tym najdonioślejszym odcinku w chwili odradzania się Państwa. Zagadnienie budowy mieszkań społecznie najpotrzebniejszych z pomocą Państwa i wypełniając o państwowej władze zadania ruszyła z miejsca — Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa, rzeczywisty na europejską miarę pionier budownictwa spółdzielczo - robotniczego.

Bez najpełniejszego rozwinięcia aktywności spółdzielczobudowlanej — problem sytuacji mieszkaniowej w nowej Polsce jest nie do rozwiązania.

Jeszcze w Lublinie — prócz „Społem" — rozpoczęła działalność spółdzielnia „Czytelnik", pobierając ważką decyzję nadania spółdzielczego charakteru najpoważniejszej — dla **rozpowszechniania kultury** — instytucji w Ludowej Polsce.

Ogromna rola spółdzielczości dla upowszechnienia kultury i wiedzy gospodarczej w odrodzonej Polsce jest tezą zupełnie bezsporną.

Pomimo wielu krytyk, często przejaskrawionych, ruch spółdzielczy — z dumą może się zjawić na pierwszym po wojnie Kongresie Spółdzielczym. Bezwątpienia zjazd przedstawicieli polskiego ruchu spółdzielczego da wyraz opinii milionów spółdzielców polskich, że ogół pracowników spółdzielczych dobrze zasłużył się Ojczyźnie w pierwszych najtrudniejszych latach Jej odrodzenia.

Od Redakcji

Redakcja „Tygodnia" wita serdecznie pierwszy w Odrodzonej Polsce Główny Zjazd Delegatów „Społem", życząc im obrad owocnych dla ruchu spółdzielczego i dzieła budowania Polski Ludowej.

„Tydzień" związany z ruchem spółdzielczym służyć będzie nadal jego idei, starając się stale podnosić swoją formę i treść dla tym skuteczniejszego wykonania swych zadań.

TYDZIEŃ

NR 47 (71)

ROK II C

23.XI.1947

tak i nie

„Tydzień" w Czechosłowacji

TYGODNIK czeski „Narodni Obroda" wydawany w Brnie poświęcił dwa artykuły omawiające wizytę pisarzy polskich w Czechosłowacji i przytoczył szereg wyjątków z artykułów Jana Wiktora, drukowanych w Nr 28 i 29 „Tygodnia" pt. „Wrażenia z Czechosłowacji" pisząc między innymi: „Nasz krakowski przyjaciel (Jan Wiktor — przyp. Red.) ogłosił w czasopiśmie „Tydzień" głębokie swe wrażenia ze zjazdu, napisane piórem doskonałego beletrysty i uważną obserwacją tego wszystkiego, co zajmującego u nas widział".

Również i artykuł J. Wiktora pt. „Na grobie ojca narodu" poświęcony pamięci Massaryka, drukowany w Nr 43 „Tygodnia" był przychylnie oceniany i częściowo cytowany przez prasę czeską. (B)

Tylko dla chorych

KAŻDEGO miesiąca przybywają ze Szwajcarii do Niemiec artykuły żywnościowe wartości pięciu milionów franków szwajcarskich. Ten piękny przykład „miłosierdzia" dają światu nie tylko wszelkiego rodzaju towarzystwa opieki, ale również i handlowe firmy szwajcarskie (!).

Organizacja katolicka w Zurychu „Die Christliche Nothilfe", która zatrudnia w swych biurach pewną ilość Niemców, wysłała dotychczas do Niemiec 600.000 paczek żywnościowych o wartości 13 milionów franków szwajcarskich. Wychodząc zapewne z założenia, że Niemcy podczas ostatniej wojny przyzwyczaili się do urozmaiconego odżywiania, stworzono większą ilość typów wysyłanych paczek żywnościowych: jedne z nich, na przykład, zawierają kilo masła, kilo ryżu, kilo mięsa i ćwierć kilo sera, inne: mąkę, cukier, miód, ryż, tłuszcze i mleko w proszku; na trzeci rodzaj paczek składa się kawa, kakao, herbata, cukier i mleko, na czwarty: pięć kilo ryżu i kilo białej mąki.

To miłosierdzie szwajcarskie nabiera jeszcze o wiele większej wartości, jeśli się weźmie pod uwagę, że większość z wyżej wymienionych artykułów żywnościowych jest do Szwajcarii importowana. I więcej nawet: niektóre z tych artykułów konsument szwajcarski może nabyć jedynie na kartki. Mało tego: w samej Szwajcarii można otrzymać ryż tylko na polecenie lekarza.

Ale czy można się dziwić, że Szwajcarzy wysyłają ogromne ilości tego samego ryżu Niemcom? Przecież ci biedacy tak się nacierpieli podczas ostatniej wojny. Są nieszczęśliwi. Chorzy. A więc ryż tylko dla chorych... (S.)

Klub samobójców

W POBLIŻU Sydney nad brzegiem Pacyfiku wznosi się wysoka i niezmiernie stroma skała, ulubiona przez samobójców. Mieszkańcy sąsiedniego miasta postanowili zwalczyć istniejący stan rzeczy. Obecnie na szczycie skały na wys. 100 metrów nad morzem ustawiono tablicę treści następującej:

„Uwaga samobójcy! Śmierć wam nie ucieknie! Zanim skoczycie w otchłań, wstąpcie do Klubu Samobójców w Sydney, gdzie znajdziecie takich jak wy sami. Wstęp wolny. Za dnych zobowiązań. Będziecie nam wiecznie wdzięczni!"

Podobno oryginalny klub liczy już kilkudziesięciu rzeczywistych członków, niedoszłych samobójców. (p)

W poszukiwaniu janczarów

KARIERA zbrodniarzy wojennych nie zawsze kończy się w więzieniu. Nie można na przykład tego powiedzieć o pułkowniku pochodzenia jugosłowiańskiego Vlado Peric. Pułkownik Vlado Peric jest obecnie strasznie zajęty rekrutowaniem ochotników do armii tureckiej. Szuka ich on w obozach „dispersed persons" zachodnich Niemiec, Austrii i Włoch.

Według wypowiedzi delegacji tureckiej, która wizytuje obecnie swe obozy, Turcja zamierza ściągnąć z obozów 25.000 ludzi i nadać im obywatelstwo tureckie. Byli oficerowie otrzymają w armii tureckiej swoje stopnie.

Specjalne biuro ambasady tureckiej w Rzymie ma za zadanie przetransportować ochotników do Turcji. (S)

Na Ku-Klux-Klan Ku-Klux-Klan?

OSTATNIE morderstwa popełnione przez członków Ku-Klux-Klanu na trzech Murzynach i dwóch Żydach wywołały wreszcie i w samej Ameryce sprzeciw. Z inicjatywy pisarza amerykańskiego Stetson Kennedy utworzono ligę do walki z rasizmem. Liga ta nosi nazwę nie inną jak właśnie Ku - Klux - Klan. Oficjalnie bowiem żadne towarzystwo nie było dotychczas zarejestrowane pod tą nazwą. Do prezydium ligi mają wejść: jeden protestant, jeden katolik, jeden Żyd, jeden Indianin i jeden Japończyk amerykański. Mimo jak najbardziej szlachetnych postanowień ligi, dość wątpliwe jest czy nowy Ku-Klux - Klan zdobędzie w Ameryce tyle sobie oddanych zwolenników ile ma ich Ku - Klux - Klan dawny tak dobrze znany ze swojej aktywności. (S.)

Demontaże i nowy plan przemysłowy

OSTATNIE posunięcie anglo - amerykańskich władz okupacyjnych w Niemczech, tj. równoczesne ogłoszenie nowego planu przemysłowego dla stref zachodnich i listy 682 zakładów fabrycznych, które mają ulec demontażowi, nie powinno zmylić opinii polskiej. Zakłady, które zostaną przekazane na rachunek odszkodowań były po większej części nieczynne od dawna i stanowią tylko znikomy odsetek ogólnego potencjału przemysłowego Niemiec. Np. w Berlinie ulegnie zdemontowaniu tylko jedna fabryka.

Oto kilka cyfr porównawczych tego planu:

	Poczdam	1936 r.	Plan
Stal	5,8 mil. ton	14.9 mil. ton	10.7 mil. ton
Maszyny	480 mil. Mk	1.594 mil. Mk.	1.536 mil Mk.
Samochody	78.000 szt.	300 000 szt.	121.000 szt.
Przemysł elektrotech.	380 mil. Mk	830 mil. Mk.	1.237 mil. Mk.
Przemysł chemiczny .	1.395 mil Mk	2.325 mil. Mk.	2.271 mil. Mk.

Proszę uwzględnić, że nowy plan nie obejmuje **całej** produkcji niemieckiej, lecz jedynie wytwórczość dwóch **stref.** Tereny objęte zarządem radzieckim i francuskim nie są wliczone do tych cyfr. (p)

ANGLIK i NIEMIEC

o „Niemcach polskiego pochodzenia"

Nie tak dawno usłyszeliśmy z ust rzecznika brytyjskiego MSZ oświadczenie, że **władze brytyjskie w Niemczech nie zgadzają się na masową repatriację naszych rodaków osiadłych od lat w Nadrenii i Westfalii, gdyż są to „Niemcy polskiego pochodzenia"**. Te właśnie słowa należy uznać za kiepski dowcip polityczny brytyjskiego dyplomaty w porównaniu z obiektywnością uczonego niemieckiego z czasów cesarsko - wilhelmowskich. Oto leży przed nami książka, której lekturę polecamy anglosaskim rzeczoznawcom od spraw repatriacyjnych. Autorem jest profesor nauk państwowych uniwersytetu w Kilonii — Ludwig Bernhard. Ukazała się ta książka w roku 1907 w Lipsku pod tytułem: **„Das polnische Gemeinwesen im preussischen Staat. Die Polenfrage" (Społeczność polska w państwie pruskim. Sprawa Polaków)**. W rozdziale dwunastym powyższej książki zatytułowanym **„Robotnicy polscy w Nadrenii i Westfalii (Die polnischen Arbeiter in Rheinland — Westfalen)** czytamy co następuje:

„W Nadrenii i Westfalii żyje obecnie około 200.000 Polaków, są to przeważnie robotnicy. Między nimi znajdowało się w roku 1905 około 3.000, w roku zaś 1906 około 5.000 Polaków z Galicji i Kongresówki. Masa robotnicza polska, zamieszkująca głównie Nadrenię i Westfalię, pochodzi prawie w większości z Poznańskiego Pomorza (51 proc.), Prus Wschodnich (24 proc.), oraz Górnego Śląska (9 proc.). Około 16 proc. Polaków urodziło się w Nadrenii i Westfalii — jest to już druga generacja".

W dalszym ciągu autor stwierdza, że odpowiedź na pytanie, czy robotnicy polscy w Nadrenii i Westfalii są dobrze czy źle zorganizowani, nie jest łatwa nawet dla znawcy tego zagadnienia. Oto jego opis bytowania polskiej emigracji zarobkowej:

„Ta obca masa robotnicza jest tak zwarta i solidarna, że dzielnice fabryczne w Gelsenkirchen, Recklinghausen, Herne i Bochum robią wrażenie jakby miast polskich. (Die fremdartige Arbeitermasse lebt dort so dichtgendrängt und ineinander geschmiegt, dass die industriequatiere... fast den Eindruck polnischer Städte machen). Zauważyć się daje tylko brak ciepła rodzinnego, które znaleźć można nawet w najniższych klasach słowiańskiego Wschodu. Mimo żywego charakteru są poważni i nieraz smutni. Wielu mężów pozostawiło żony i dzieci w kraju rodzinnym i pracuje nie aby żyć, lecz aby oszczędzić. Ich życie towarzyskie poza pracą stanowią zebrania. Tam słyszą o kraju rodzinnym, o nowych dążeniach i nowych represjach. Te właśnie zabrania nadają swoistą cechę polskiemu życiu w Nadrenii i Westfalii. Ani w Poznańskim i na Pomorzu, ani na Górnym Śląsku Polacy nie biorą tak licznego udziału w towarzystwach śpiewaczych, gimnastycznych (Sokół), robotniczych i oświatowych, jak to się dzieje w Nadrenii i Westfalii. Zebrania te są dla nich obowiązkiem i przyjemnością, zastępują im one widocznie życie rodzinne i towarzyskie"

Nawiązując do wyżej postawionego pytania w sprawie organizacji życia społecznego autor pisze: **„Należy uznać, że Polacy westfalsko - nadreńscy w tym sensie są dobrze zorganizowani. Fakt ich egzystencji na obczyźnie jako jedności narodowej świadczy już o organizacji"**.

W dalszym ciągu prof. Bernhard zajmuje się rolą prasy polskiej na wychodźtwie, poświęcając krytyczne uwagi wychodzącemu w Bochum pod redakcją późniejszego pierwszego wojewody pomorskiego Jana Brejskiego — dziennikowi „Wiarus Polski". To pierwsze polskie pismo westfalsko - nadreńskie nazywa prof. Bernhard radykalnym pismem ludowym (ein radikales Volksblatt), którego przepełniony nienawiścią stosunek do niemczyzny uwidacznia każdy numer gazety.

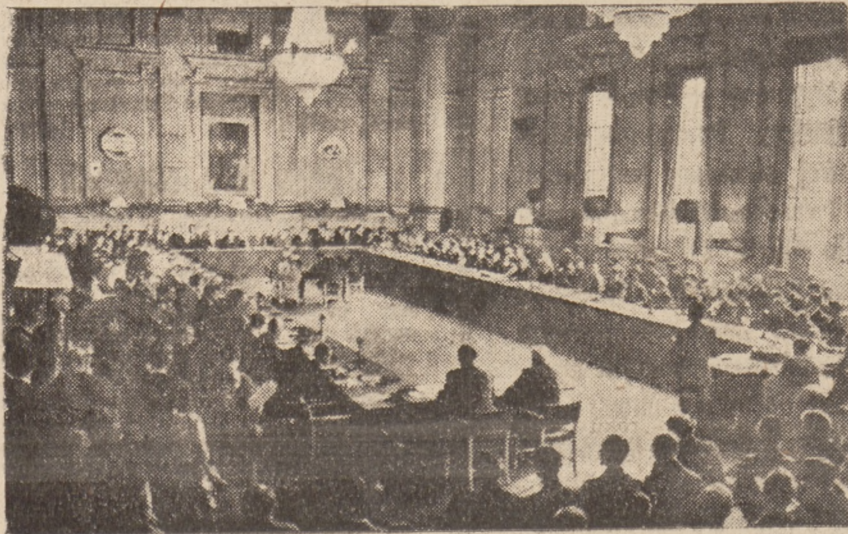
I oto dziś, gdy po długich latach po niewierki i ciężkiej i krwawej pracy dla baronów przemysłu niemieckiego, Kruppów i Stinnesów, „wiarusi" emigracji zarobkowej znad Renu i Ruhry pragną wrócić do swego kraju, dyplomacja zza zasłony dolarowej zagradza im drogę powrotu terminem — „Niemcy polskiego pochodzenia"! Nie mamy obecnie, zwłaszcza po zaznajomieniu się na własnej skórze z metodami „nauki" niemieckiej wysokiego o niej wyobrażenia, ale dla tego uczonego z epoki Wilhelma II mamy z powodu jego obiektywnego sądu o naszych rodakach więcej szacunku niż dla dzisiejszego brytyjskiego dyplomaty, wczorajszego naszego — sojusznika.

Przy tej sposobności należy za książką Pajewskiego i Głowackiego „Analogie rewizjonizmu niemieckiego" (Poznań 1947 str. 145) przypomnieć jeszcze polityczno - gospodarczą rolę emigracji polskiej za czasów francuskiej okupacji Westfalii i Nadrenii po pierwszej wojnie światowej.

Stosowany wówczas przez ludność niemiecką bierny opór, władze francuskie przełamały częściowo za pomocą ludności polskiej zagłębia Ruhry, której liczba przekraczała przeszło 400.000. (W niektórych kopalniach stan załogi wykazywał do 50 proc. Polaków). Dzięki tej ofiarnej pracy górników polskich władze francuskie mogły podjąć wywóz węgla do Francji.

W tym czasie zgodnie z postanowieniami traktatu wersalskiego cała prawie emigracja zarobkowa w przeprowadzonej opcji wypowiedziała się na rzecz Polski. Niezwykle ciężkie jednak po pierwszej wojnie światowej warunki ekonomiczne w kraju nie pozwoliły wszystkim natychmiast powrócić do Ojczyzny. Duża część górników i hutników polskich wyjechała wówczas do Francji, reszta rodaków oczekiwała możliwości powrotu broniąc się przed akcją germanizacyjną prowadzoną z coraz większym natężeniem. Gestapowski terror dziesiątkował najwybitniejszych działaczy polonii westfalskiej — był jednak bezsilny wobec ducha polskiego, tkwiącego w dziesiątkach tysięcy polskich robotników. I gdy wreszcie zaświtała po drugiej wojnie światowej nadzieja powrotu do kraju, usłyszeli z Londynu „sprawiedliwy" głos: „Jesteście Niemcami"; — A Warszawa odpowiada: Nasi Westfalacy to nie Murzyni Kruppa i Stinnesa — ich miejsce w Polsce.

M. Bartoszewicz



Sesja Organizacji Narodów Zjednoczonych w Waszyngtonie. Na zdjęciu sala obrad

Ostrze na ostrze

O DOLARES...

— „O, Dolores, jeszcze jeden raz!" — śpiewał kilkanaście lat temu zadurzony młodzieniec tę modną wówczas piosenkę i wbrew oczywiście zapowiedzi, że już odchodzi, powracał znów nieustannie spragniony do stóp niewiernej ukochanej.

— O, Dolares, jeszcze jeden raz... — śpiewa dziś smętnie niejeden uwiedziony czarem okrutnej Dolares, która to ma do siebie, iż kto raz wpadł w jej sidła, pożąda jej stale i usycha z tęsknoty.

A Dolares, nie tyle amerykańska gwiazda ile raczej chyża kometa, jest wymagająca i wyrachowana. Żąda coraz nowych ofiar od swych wielbicieli. Ofiary te są bardzo bolesne.

Często bowiem niefortunnie użyty dolar zamienia się w dolor — po łacinie — ból ... A wszystko zależy od tego, w czyje ręce dostanie się ten magiczny lakmusowy papierek, odczynnik wartości jego posiadacza.

Do różnych szaleństw zdolni są niektórzy opętani przez — jak to nazwało dowcipnie jedno z pism angielskich — „dolarium trumans". Szczególnie niebezpieczne objawy tej złośliwej dolarowej infekcji obserwujemy w Grecji.

Sytuacja rządu ateńskiego z dnia na dzień staje się coraz bardziej rozpaczliwa. Armia demokratyczna niepowstrzymanie idzie naprzód zdobywając wciąż nowe tereny. Wobec tego ateńscy władcy uruchamiają swe ostatnie rezerwy: Dolares zaczyna śpiewać. Za każdą głowę partyzanta wyznaczona jest wysoka nagroda.

— Moja być głowa co jest twoja!!! — wyje z zachwytem, godnym australijskiego ludożercy najemny dzikus, mający jeszcze w pamięci pacyfikacyjne wyczyny hitlerowców, w których brał czynny udział i — udając Greka — znosi swym dowódcom głowy greckich partyzantów, inkasując wzamian za to pieniążki. A te pieniądze to przecież — amerykańska pożyczka...

Ponura propaganda? Nie. Nie propaganda. I nie makabryczny sen. Sam pan ambasador Wielkiej Brytanii Norton interweniował u ministra spraw zagranicznych rządu ateńskiego, Tsaldarisa, tłumacząc mu z zakłopotaniem, iż tego rodzaju „operacje wojenne" wzbudzają ... niesmak u cywilizowanych Anglików.

Fakt powyższy rzuca aż nazbyt rażąco jaskrawe światło na tych, którym tak skwapliwie spieszy z pomocą pewna swych wdzięków Dolares. Dolares udaje Salome... Lecz Salome zbierała głowy 19 wieków temu, a dziś mamy dwudzieste stulecie. Zlituj się, Dolares — przestań przeliczać głowy ludzkie na pieniądze. Jeśli cię nie przeraża ten makabryczny rachunek w samej swej istocie, może przemówi do ciebie ten przynajmniej czysto kupiecki argument: zastanów się, czy nie zabraknie ci w ten sposób zbyt szybko pieniędzy.

Avis



Do Warszawy przywieziono gen. Ottona Goebla b. szefa policji niemieckiej, gdzie zda rachunek ze zbrodni popełnionych w czasie swego „panowania".

ŚLUBY KRÓLEWSKIE



Albert — książę małżonek królowej Wiktorii

20-go listopada w katedrze Westminster odbędzie się ślub następczyni tronu angielskiego księżniczki Elżbiety z porucznikiem Filipem Mountbattenem. Oboje narzeczeni są prawnukami królowej Wiktorii i księcia Alberta, którzy zostali sobie poślubieni przez 100 laty — dokładnie 10-go lutego 1840 r. W dniu tym królowa Wiktoria była ubrana w suknię z białego atlasu, przybraną haftami i wstążkami i w przecudny koronkowy welon. W ręku trzymała bukiet z kwiecia pomarańczowego i mirtu. Na pamiątkę tej uroczystości jedna gałązka mirtowa z bukietu królowej została zabrana i posadzona w ogrodach zamku Windsor.

Od tego czasu minęło wiele lat. Córka królowej Wiktorii dorosła i zaręczyła się z następcą tronu pruskiego. W dniu zaślubin otrzymała gałązkę mirtu, tego samego, który ongi miała jej matka, wychodząc za księcia Alberta. Odtąd stało się zwyczajem, że każda panna młoda, należąca lub wchodząca do panującego domu angielskiego, miała przy swojej ślubnej toalecie — jako talizman — gałązkę z historycznego krzaka.

Następną po córce królowej Wiktorii panną młodą, była księżniczka duńska Aleksandra, która w roku 1863 została poślubiona księciu Walii — późniejszemu Edwardowi VII. I gdy tak piękna, lśniąca od bieli atłasu i blasku diamentów sunęła przez nawę kościelną, powieściopisarz angielski Tkackeray wyraził się, że podobniejszą była do królewny z bajki niż rzeczywistej istoty.

W roku 1893 odbył się ślub ówczesnego księcia Yorku — późniejszego króla Jerzego V — z księżniczką Mary Of Teck. Panna młoda była ubrana w suknię z białego atłasu, haftowaną w srebrne róże. Welon miała przytrzymany diademem z brylantów, darem królowej Wiktorii, która sama wybrała księżniczkę Teck za żonę dla swego wnuka.

Po pierwszej wojnie światowej (w r. 1922), w okresie kiedy prestiż Wielkiej Brytanii dosięgnął chyba swojego kulminacyjnego punktu, król angielski Jerzy V i królowa Mary wydali zamąż swoją jedynaczkę za Lorda Harewooda. Ślubna toaleta królewny była ze srebrnej lamy, haftowana w diamentowe róże, królowa Mary wystąpiła na ślubie swojej córki w złotym brokacie, a królowa Aleksandra, babka panny młodej, w szkarłatnych aksamitach.

W parę lat później wstąpił w związki małżeńskie książę Yorku — obecny król Jerzy VI. Panna młoda — Lady Elizabeth Bowes — Lyon — miała na sobie najprostszą suknię, jaką kiedykolwiek nosiła księżniczka, należąca do rodziny królewskiej. Krój jej był średniowieczny, a ozdobiona była perłami.

W roku 1934 ożenił się drugi syn królewski, książę Kentu. Panną młodą była księżniczka Maryna Grecka — „The daring princess" („śmiała księżniczka") co to odważyła się — pierwsza z kobiet panującego domu angielskiego — palić papierosy w publicznych miejscach. Ślubna suknia księżniczki Maryny była ze srebrnej lamy z długim trenem. Jedną z druhen była 9-letnia księżniczka Elżbieta, obecna następczyni tronu. Przy tej to właśnie okazji poznała księcia Filipa Greckiego.

Książę Filip Grecki urodził się w roku 1921 na Korfu. Ojcem jego jest książę Andrzej Grecki, a matką Lady Alice Mountbatten, siostra obecnego wicekróla Indii. Książę Filip kończył szkołę w Anglii, a w roku 19[illegible] wstąpił do marynarki angielskiej, wnosząc jednocześnie prośbę o nadanie mu obywatelstwa brytyjskiego, które otrzymał po wojnie. Z chwilą naturalizacji angielskiej, książę Filip stracił prawo do poprzednio posiadanych tytułów i przyjął nazwisko swojej matki. Podczas wojny por. Mauntbatten pełnił służbę na morzu Śródziemnym. Po wojnie został jednym z instruktorów w szkole marynarki królewskiej.

Stosownie do specjalnej ustawy, wydanej w roku 1772, żaden członek rodziny królewskiej nie może bez zezwolenia króla, zawrzeć małżeństwa, ważnego wobec prawa. Księżniczka Elżbieta musiała więc otrzymać zgodę króla Jerzego VI na poślubienie por. Mountbattena. Ale księżniczka Elżbieta jest nie tylko córką królewską, lecz ponadto następczynią tronu Anglii, a prawdopodobnie również Kanady, Nowej Zelandii, Australii i Unii Południowo - afrykańskiej, a tym samym na małżeństwo jej musieli wyrazić zgodę premierowie rządów wszystkich Dominiów. Zanim księżniczka Elżbieta zgodę tę uzyskała, miała do pokonania liczne sprzeciwy i podobno wyraziła gotowość rezygnacji z tronu raczej, (jak to zrobił jej wuj, Edward VIII) niż z poślubienia por. Mauntbattena. Ostatecznie po wielu dyskusjach między królem i premierami wszystko ma się zakończyć happy endem przy ołtarzu.

Dziekan katedry westminsterskiej, Ganon Don, udzieli młodej parze ślubu, który odbędzie się według obrządku anglikańskiego. Od roku 1701 obowiązuje w Anglii ustawa, że następczyni tronu nie może być katoliczką, ani poślubić katolika. W wypadku gdyby przeszła na katolicyzm traci wszystkie prawa do korony. Małżeństwo następczyni tronu jest w historii Anglii wypadkiem bez precedensu i pozycja jej męża nie jest przez Konstytucję określona. Z pięciu panujących w Anglii królowych — Elżbieta Tudor, córka Henryka VIII i Anny Bolleyn, nigdy nie wyszła zamąż, Maria I, córka Henryka VIII i Katarzyny Aragońskiej, była już królową gdy poślubiła Filipa Hiszpańskiego i nadała mu tytuł króla, Maria II, córka Jakóba II, została żoną Wilhelma Orańskiego w czasie, kiedy jej prawa do korony angielskiej nie były jeszcze pewne, a później wstąpiła na tron razem ze swoim mężem, który panował jako Wilhelm III. Mąż królowej Anny, Jerzy Duński otrzymał tytuł księcia Cumberland, a księciu Albertowi mężowi królowej Wiktorii został nadany tytuł Prince Consort, dopiero na kilka lat przed śmiercią. Czy i jaki tytuł angielski otrzyma porucznik Mountbatten po swoim ślubie z następczynią tronu — nie da się na podstawie cytowanych przykładów przewidzieć.



Prababka królewskich narzeczonych —królowa Wiktoria w stroju ślubnym

Król Jerzy VI ogłosił, że ślub księżniczki Elżbiety będzie miał charakter jedynie pół - państwowy. Goście weselni nie będą ubrani w strój dworski, panowie wystąpią w uniformach i ubraniach marynarkowych, a panie w sukniach popołudniowych i w kapeluszach. Ceremoniałem uroczystości kieruje 70-letni Lord Clarendon, szambelan dworu, znany z tego, że „nigdy jeszcze nie ominął najdrobniejszego szczegółu w ceremoniach, które organizował".

Następczyni tronu pojedzie do kościoła razem z ojcem swoim w otwartym powozie, zaprzężonym w czwórkę koni. Królowa, księżniczka Małgorzata i porucznik Mountbatten pojadą również w otwartych powozach. Na uroczystość kościelną otrzymało zaproszenie około 2.000 osób: rząd angielski i przywódcy opozycji, rządy wszystkich dominiów, ambasadorowie i charges d'affaires rządów zagranicznych, rodzina i służba państwa młodych oraz wiele sławnych osobistości w Anglii.

Ślub następczyni tronu przypada na okres ostrego kryzysu w Anglii. Z powodu braku drzewa i rąk roboczych, nie zostaną nawet wybudowane zwykłe w takich okazjach trybuny dla publiczności. A że są to jednocześnie czasy zachwiania się potęgi politycznej Imperium i wielkich przemian społecznych na świecie, możliwe, że ślub księżniczki Elżbiety jest jedną z ostatnich ceremonii dworskich na wielką skalę, jaką Londyn będzie oglądał. Nie ulega też wątpliwości, że zarówno aparycja panny młodej jak por. Mauntbattena będzie mocno odbiegała od kapiących od złota i klejnotów orszaków weselnych, jakie przeciągały ulicami Londynu w minionych wiekach. Wydaje się omal, że orszak królewski — panowie w ubraniach marynarkowych i panie w sukniach popołudniowych — zawczasu chcą się upodobnić do tego tłumu, który będzie ich oglądał.

(J. ż.)



Księżniczka Elżbieta i porucznik Mountbatten

Z TEATRÓW WARSZAWSKICH

PAN INSPEKTOR PRZYSZEDŁ

Teatr Polski w Warszawie wystawił, od dawna już oczekiwaną sztukę współczesną, pisarza angielskiego J. B. Priestley'a: „Pan Inspektor przyszedł".

Napisał ją Priestley, jak sam zaznacza w przedmowie do wydania książkowego, w r. 1944 za namową swego przyjaciela, reżysera Macowana na podstawie zanotowanej niegdyś w brulionie historii, „o tajemniczym inspektorze". W rok później sztukę tę wystawił po raz pierwszy Teatr Tairowa w Moskwie, a w Anglii dopiero w roku ubiegłym znalazła się w programie pewnego teatru objazdowego.

I chociaż akcja sztuki poprzez trzy akty toczy się w ciągu jednego wieczora w 1944 r. w domu fabrykant Birlinga, jednak potrafił autor poda widzom cały dosyt zadowolonego, bogatego mieszczaństwa, egoizm i pewność siebie, jaką daje bogatym—pieniądz, a obok tego odmalował doskonale: obłudę, bezduszność i małość tej warstwy ludzi oraz hulaszcze życie i lekkomyślność tzw. „złotej młodzieży".

Maksymą życiową Birlinga było: „każdy musi pilnować tylko swoich spraw", a jego celem w życiu było dążenie do zdobycia jak największego majątku przez obniżanie kosztów produkcji w swojej fabryce, kosztem robotników, aby w konsekwencji zdobyć przynajmniej tytuł baroneta..

W śmierć robotnicy Ewy Smith zamieszani są wszyscy członkowie rodziny Birlingów, a więc: ojciec, matka, córka i syn oraz narzeczony córki — Czoft, przedstawiciel również bogatej rodziny mieszczańskiej. Fabrykant Birling zwalnia Ewę Smith z pracy, gdyż była sprawczynią strajku w jego fabryce, a gdy ta później znalazła pracę w magazynie mód, córka Birlinga — Sheila spowodowała usunięcie jej z pracy, gdyż Ewa rzekomo ironicznie uśmiechnęła się podczas przymierzania przez nią sukni.

Narzeczony jej stał się później kochankiem Ewy Smith i rzucił ją, poczym z kolei przyjacielem jej został syn Birlingów — Eryk, a później, gdy



W Teatrze Polskim grana jest sztuka Priestley'a „Pan Inspektor przyszedł". Na zdjęciu: p. Birling (Maria Dulęba) i Czoft (Milecki).

Ewa zaszła w ciążę i znalazła się w ciężkiej sytuacji materialnej, i gdy zwróciła się do członkini Ligi Pomocy upadłym kobietom — p. Birling, z prośbą o wsparcie, ta odmówiła jej pomocy. Doprowadziło to dziewczynę do popełnienia samobójstwa.

Zagadkowy inspektor policji poddaje całą rodzinę torturze prawdy i dzięki swojej sugestii wydobywa z nich kolejno wyznanie zbrodni, jakiej wszyscy stopniowo dopuścili się na młodej robotnicy Ewie Smith.

W czasie śledztwa ujawnia się, że młode pokolenie: Sheila i Eryk zaczynają widzieć i rozumieć popełnione przez nich błędy i przeżywają głęboko śmierć młodej dziewczyny. W przeciwieństwie do nich starzy tkwią uparcie w swoich błędach i kiedy okazuje się, że tajemniczy inspektor nie był właściwie inspektorem policji — uważają, że znów stali się porządnymi i przyzwoitymi ludźmi.

Nic też dziwnego, że wobec takiego upartego stanowiska Birlingów i im podobnych — muszą spełnić się słowa inspektora: „Jeżeli nie zrozumiecie — we krwi i w ogniu zrodzi się nowy świat".

W sztuce Priestley'a święcił podwójny triumf Zelwerowicz: jako reżyser i jako odtwórca roli Inspektora. Pozostali wykonawcy: Maria Dulęba, Karpińska, Dominiak, Milecki i Wołłejko stanęli na wysokości zadania i stworzyli jedno z najlepszych przedstawień teatralnych w powojennej Warszawie.

M. B.

WESELE FIGARA

Nowootwarty w Warszawie Teatr Nowy pod dyr. Juliana Tuwima i J. Müllera, wystawił na inaugurację sezonu wcale nie nową sztukę — jakby tego należało spodziewać się, chociażby po obranej dla teatru nazwie — ale starą z XVIII w. sztukę Beaumarchais'ego „Wesele Figara", graną już po wojnie w Państwowym Teatrze W. P. w Łodzi w ubiegłym sezonie.

Chociaż akcja sztuki rozgrywa się w Hiszpanii, to jednak Beaumarchais miał na myśli stosunki panujące we Francji, w okresie poprzedzającym Wielką Rewolucję Francuską. Hańbiące prawo pierwszej nocy (ius primae noctis) — istniejące jeszcze do niedawna w Japonii, gdzie burmistrz miasta miał prawo spędzić pierwszą noc po ślubie z panną młodą, aby stwierdzić, czy będzie odpowiednią żoną — istniało do połowy w. XVIII we Francji.

Stosunki panujące na dworze Ludwika XVI, tak świetnie odzwierciedlone przez Beaumarchais'ego! —musiały doprowadzić do wybuchu Rewolucji. „Wesele Figara" nie straciło nic ze swej wartości, pomimo upływu stu kilkudziesięciu lat od chwili napisania. Jest to komedia pełna błyskotliwego humoru i wnikliwego, może nawet ironicznego spojrzenia na otaczający autora świat. Wprawdzie niektórzy krytycy niechętnie usposobieni do Beaumarchais'ego, chcieli poniżyć jego dzieło w opinii publicznej, twierdząc, że Figaro swą postawą przypomina samego „autora", nie wpłynęło to jednak ujemnie na wartość komedii. Jeżeli wniknąć głębiej w treść sztuki, to nie trudno będzie stwierdzić, że pod błahymi perypetiami bohaterów komedii, toczy się walka klas społecznych, walka dwóch intelektów. W Zamku hrabiego Almawiwy spotykają się dwa żyjące obok siebie, a tak różne światy, przy czym hrabia, hrabina i Cherubin reprezentują tzw. elitę ówczesnej Francji, a obok nich służba — na pozór zadowolona ze swego losu, ale od czasu do czasu ujawniająca swój bunt przeciw istniejącym różnicom klasowym.

Szkoda tylko, że reżyser sztuki p. Daczyński poszedł w ślady Schillera i usiłował widzom przedstawić pointę przed pokazaniem całości komedii. Wykrojenie z ostatniego aktu, z monologu Figara pewnej partii i uczynienie z tego prologu, ażeby w ten sposób „ułatwić widzom zrozumienie sztuki" — było naszym zdaniem błędne, gdyż w ten sposób wielki monolog Figara, zasadniczy i najgłębszy w sztuce został „rozmieniony na drobną monetę".

Poza tym mankamentem, całość wystawiona została dobrze.



Scena z aktu I-go „Wesela Figara" Na zdjęciu Zuzanna (Irena Górska) i hrabia Almawiwa (Andrzej Bogucki)

Zbliża się rok jubileuszowy

Wertowałem któregoś dnia nowe wydanie „Historii demokracji polskiej" Bolesława Limanowskiego. Natrafiłem na rozdział o Szymonie Konarskim, zakończony cytatem z Seweryna Goszczyńskiego, który w takich oto wierszach sławi zasługi bojownika o wolność ludzi: „Anioł narodowej chwały nie przejdzie niemy nad twoją mogiłą. Chwilę twej śmierci jak pomnik poświęci, zawiesi nad nim jak wieniec te słowa: On za lud umarł. Cześć jego pamięci. A lud w swym sercu wiecznie je przechowa. Będą je zdawać swoim wnukom dziady i czyste dusze będą iść w Twe ślady". Czy te wróżby o czci, należnej Konarskiemu, wypowiedziane przez jego współtowarzysza pracy, spełniły się? Czy nazwisko Konarskiego jest tak powszechnie znane i otoczone miłością, jak na to zasługuje? Rozpytajmy się o nie nie tylko kędyś po wsiach, ale wśród inteligencji... Kto to był Szymon Konarski i co on wielkiego zrobił? Ilu Polaków, ilu nawet dobrych demokratów polskich odpowie nam na to choć w krótkości?

Możliwe, że zupełnie przypadkowo postać Szymona Konarskiego znalazła się w cieniu jego imiennika — znakomitego wprawdzie i oświeconego szermierza postępu, ale nie bohatera i nie męczennika — Stanisława Konarskiego. Często się w historii i w życiu zdarza, że z dwóch wybitnych postaci tego samego nazwiska jedna przysłania drugą. Możliwe również, że czynnikiem, który utrudnił nam przyswojenie sobie Szymona Konarskiego, wchłonięcie go w świadomość narodową jako bohatera narodowego była jego — że użyję tego wyrazu — „heretyckość": Konarski wyznawał ewangelizm reformowany, czyli, jak to się mówiło potocznie u nas, kalwinizm; należał do tego kościoła z dziada-pradziada od czasów reformacji w Polsce, a więc od czasów Reya, Łaskiego, Budnego, Krowickiego i wielu innych, wiernych rozumnych i zasłużonych synów ojczyzny. A wiadome jest, że, aczkolwiek w ostatnich latach przed wojną cała tzw. elita polska z ministrami na czele nawracała się na kalwinizm ze względu na nierozerwalność węzła małżeńskiego i pielgrzymowała do kalwińskiego Rzymu, którym była ul. Zawalna w Wilnie — mimo to w opinii narodowej pokutowały w stosunku do kalwinizmu zakorzenione idiosynkrazje z saskiej jeszcze epoki, kiedy o kalwinie odzywano się w ten sposób: człowiek nawet zacny, ale cóż — kiedy kalwin paskudny. Toteż śmiem wątpić, czy ktoś z owej elity, układając jakiś panteon bohaterów narodowych (gwoli umoralnieniu młodzieży) wyznaczyłby w nim poczesne miejsca kalwinom, arianom, lutrom, schyzmatykom — słowem, dyssydentom i tym podobnym, mówiąc po staropolsku, lewowiercom. Natomiast w kościele kalwińskim w Wilnie, wśród tablic pamiątkowych, poświęconych wielkim kalwinom polskim, widniała także tablica marmurowa Szymona Konarskiego; a na miejscu jego kaźni, w okolicach Wielkiej Pohulanki, gdzie został w r. 1839 rozstrzelany, wzniósł się olbrzymi głaz z pamiętliwym napisem; wszelako głaz ten był postawiony nie przez wdzięcznych rodaków, lecz przez wdzięcznych współwyznawców.

Odbiegam od tematu. Chciałem powiedzieć, że gdy się przerzuca książkę Limanowskiego, napotyka się na każdej stronie jakieś piękne nazwisko demokraty polskiego, mało na ogół szerokim warstwom znane. A powinno być inaczej. Powinniśmy te nazwiska umieć na pamięć jak pacierz, są one bowiem dowodem, że demokracja nasza ma za sobą przeszłość i tak rozwoju, tradycji i historii. Gdy Szymon Konarski razem z Goszczyńskim i innymi zakładał „Stowarzyszenie Ludu Polskiego", cele i zadania jego streścił w następujących hasłach: „Polska musi się oprzeć na włościaństwie... Wszystko dla ojczyzny, wszystko dla ludu... Szczęście wszystkich — naszych prac przedmiotem, Polska i ludzkość — naszym godłem". Jakże wzniosłe są to hasła, jak szacowne i stare! Budując teraźniejszość w Polsce, mamy się na co powołać.

Stowarzyszenie Ludu Polskiego... Należał do niego również Gustaw Ehrenberg, zapalony poeta, autor pieśni „O cześć wam, panowie magnaci". Znamy tę pieśń, ale niewielu z nas zna jej autora i koleje jego życia. Większość najczynniejszych członków Stowarzyszenia stanowili w ogóle poeci i pisarze, jako że to są ludzie najbardziej uczuciowi i odwieczni rycerze ideałów: Wincenty Pol, August Bielowski, Lucjan Siemieński, Jan Zachariasiewicz, Karol Szajnocha, Franciszek Smolka, Stanisław Szczepanowski... Z dalekiej Brukseli dawał im znaki stary Lelevel, do którego nieopalanej izdebki pukał nieśmiało młodziutki podówczas Lew Tołstoj, czasu swej podróży zagranicznej, aby złożyć hołd wielkiemu historykowi. A z dalszego jeszcze Londynu udzielał Stowarzyszeniu wskazówek sam Stanisław hr. Worcell, pierwszy polski „socjalista utopijny", o którym Hercen powiadał, że był to najszlachetniejszy z ludzi. Chłopski historyk demokracji polskiej Wincenty Banaś z uznaniem określa wszystkich tych ludzi jako „szlachtę zrewolucjonizowaną", która umiała zerwać z dziedzictwem szlacheckiej przeszłości. Ale obok nich i w łączności z nimi, występują chłopi czystej krwi. Takim jest ksiądz Piotr Ściegienny, z rodu pańszczyźniaków, snujący misterne nici swego chłopskiego sprzysiężenia, które miało zapewnić Polsce doskonałe „gminowładztwo" ewangeliczne.

Momentem dziejowym, w którym te nasze ruchy demokratyczne dochodzą do najwyższego nasilenia i wybuchu, były lata 1846 — 1848, nade wszystko rok 1848 — era Wiosny Ludów. Zbliża się jej setna rocznica. Będziemy ją świętowali i rozpamiętywali. Obchodzić ją będzie również cała Europa, ogarnięta przed stu laty wielkim szaleństwem bohaterstwa, upojona miłością i wolnością. Wspaniali przewodzili jej wówczas ludzie: Ledru - Rollin, Mazzini, Garibaldi, Kossuth, wspierany przez naszego Dembińskiego i Bema. Będziemy rozmyślać o nich — my, którym fatalne wyroki historii kazały przeżyć najdziksza wojnę, jaką zna ludzkość, i być świadkami obłędu najwięlszego z despotów — Hitlera.

Jerzy Wyszomirski

GROBY FARAONÓW I NĘDZA FELLACHÓW



Profesor wszechnauk Kali na tle grobowca Tut-ench-Amuna.

I. W CIENIU PIRAMID — KAIR

Pierwsze zetknięcie się z rzeczywistością stolicy Egiptu, to rozkrzyczane miasto, przepełnione tłumem mieszkańców, będących wiecznie w ruchu, wiecznie w pogoni za najdrobniejszym choćby zarobkiem.

W parę chwil po opuszczeniu kolejki elektrycznej, Tadeusz, mój nawigator i ja, jesteśmy otoczeni gromadą wyrostków, którzy starają się namówić nas na oczyszczenie zakurzonych butów. W szybkim potoku arabczyzny powtarzają się stale okrzyki:

— Estma! Szuszale! Estma!

Słowa te słyszymy później o każdej porze dnia i nocy, gdyż w ten sposób nawołują Egipcjanie dla zwrócenia na siebie uwagi.

Tadeusz na próżno stara się wytłumaczyć czyścibutom, że obejdziemy się doskonale bez ich pomocy. Natarczywość ich wzrasta i w pewnym momencie przechodzi nawet w groźbę. Chcąc pozbyć się natrętów godzimy się wreszcie na oczyszczenie, lecz o zgrozo! W międzyczasie cena wzrosła o całe 100 procent! Oburzeni odchodzimy, by po niewczasie przekonać się, że chłopcy z zemsty ochlapali nasze buty i spodnie płynną pastą.

Nie ma rady! Musimy szukać pomocy u innych czyścibutów, którzy sprawnie doprowadzają naszą garderobę do porządku i liczą nam nie tylko za swą pracę, ale i za pastę zużytą przez poprzedników!

Płacimy i szybko ulatniamy się do bardziej europejskiej dzielnicy. W ucieczce przed czyścibutami, nagabujemy elegancko ubranego tubylca w europejskim stroju. Prosimy o wskazanie nam hotelu Continental, gdzie podobno można dobrze i tanio zjeść kolację.

Usłużny Egipcjanin, po przejściu dwudziestu kroków, z uśmiechem na tłustej twarzy wskazuje na poszukiwany hotel. Dziękujemy i kierujemy się do wejścia, lecz w tym momencie przewodnik rzuca się dosłownie na nas.

— A gdzie mój bakszysz effendi? No gdzie?

— No, chyba się pan nie przemęczył zbytnio, przeszedłszy tych parę kroków — staram się mu wyjaśnić, jednak Egipcjanin jest nieugięty.

— Jakto? Udzieliłem wam effendi pomocy, straciłem czas, przeto należy mi się zapłata! To jasne!

Dajemy mu dziesięć piastrów, które chwyta szybko i odchodzi dostojnie, mrucząc pod nosem przekleństwa. Stanowczo za mało dostał.

Po kolacji w Continentalu, gdy wieczór nadchodzi i upał dzienny maleje, udajemy się w rejon piramid, które czerwienieją w świetle zachodzącego słońca. Przeciętny turysta angielski widzi w piramidach symbol potęgi dawnego Egiptu i niezłomnej woli faraonów. Gdy jednak nasz przewodnik monotonnym głosem wylicza, że piramidę Cheopsa budowano przez trzydzieści lat, a przy robocie zmarło pół miliona robotników i niewolników, nie możemy oprzeć się wrażeniu, że piramidy są symbolem męki i cierpień egipskiego ludu, zatrudnionego przy jałowej i nieproduktywnej pracy.

W cieniu starych piramid, symbolizujących dawny niesprawiedliwy ustrój społeczny, znajduje się skromna willa, gdzie u schyłku ostatniej wojny odbyła się konferencja z udziałem Generalissimusa Stalina, Prezydenta Roosevelta, premiera Churchilla i marszałka Czang-Kai-Szeka. W skromnej willi miały powstać podwaliny pod nowy ład społeczny. Niestety, narody anglosaskie zbyt przypominają swoich turystów, dla których męka ludu nie odgrywa żadnego znaczenia, a podziwiają jedynie siłę i pieniądz.

Wieczór szybko zapada, a wraz z nim roje złośliwych komarów zaczynają atakować równie natarczywie, jak uprzednio czyścibuty.

II. LUXOR — TEBY

— To doprawdy wstyd — powiedział do mnie nawigator Tadeusz, któregoś upalnego południa w Kairze. Jesteśmy przeszło pół roku w Egipcie, a nie byliśmy dotąd w Luxorze. Teraz kiedy nasza maszyna jest w remoncie i mamy sporo wolnego czasu, musimy się tam koniecznie wybrać.

— Oczywiście, zgadzam się z tobą, jutro jedziemy.

Zamówiliśmy w Tow. Cooka trzydniowy pobyt w Luxor, łącznie z przejazdem koleją, hotelem, utrzymaniem i przewodnikiem. Nadwyrężyło to nieco nasz skromny budżet, jako, że było już daleko po pierwszym, ale nazajutrz jechaliśmy luksusowym sleepingiem do odległego o 350 km. na południe od Kairu Luxoru, miejsca spoczynku dawnych władców Egiptu.

Na stacji oczekiwał nas stary Egipcjanin w długim tużurku i czerwonym fezie na głowie.

— Jestem profesor wszechnauk Kali — oświadczył na wstępie, zbliżając się do nas. — Jestem przewodnikiem Cooka i mam oprowadzić effendich po Luxorze.

Zaraz też ulokował nas w niemiłosiernie trzęsącym samochodzie, który zawiózł nas do hotelu. Po krótkim odpoczynku profesor Kali wywołuje nas na pierwszą turę wycieczki. Jedziemy do doliny Ramzesów. Po drodze przewodnik wprowadza nas w dzieje swej ojczyzny, nie może się jednak powstrzymać od aluzji skądinąd niepochlebnych pod adresem Anglików. Rozgadał się zwłaszcza szczerze, dowiedziawszy się, że jesteśmy Polakami.

— Czyż może być dobrze w Egipcie, gdy na każdym kroku Anglicy wtrącają swoje trzy grosze? Effendi może nie uwierzy temu co teraz opowiem, niemniej jednak jest to szczera prawda. Otóż w czasie wojny były wypadki, że kapitan gwardii angielskiej, wjeżdżał konno na dziedziniec prezydium rady ministrów, wywoływał premiera i wydawał mu rozkazy nie zsiadając z konia!

Tadeusz nie chce mu uwierzyć, więc profesor zmienia szybko temat, rozpływając się w kwiecistych słowach nad Polakami, których poznał w czasie wojny. Są to najlepsi ludzie, a zwłaszcza najlepsi klienci, którzy nigdy nie zapominali o profesorze wszechnauk. Puka wyraźnie do naszych serc i naszych kieszeni, lecz my nauczeni już zwyczajów Egipcjan milczymy jak sfinks i łykamy pochlebstwa, jak gęsi kluski.

Wreszcie następuje przesiadka. Opuszczamy trzęsący samochód, by dalszą część podróży odbyć na wszechstronnym afrykańskim środku lokomocji — ośle. Podjeżdżamy do pasma górskiego. Tu między szczytami kryją się skarby i cuda dawnego starożytnego Egiptu. Zostawiamy nasze kłapouchy, pieszo zagłębiamy się w wąwozy i po półgodzinnym forsownym marszu jesteśmy na miejscu. Przed naszymi oczami rozciąga się wielka dolina grobów królewskich, sztucznie poszerzona przez poszukiwaczy starożytności i łowców skarbów. Prażące niemiłosiernie słońce przyprawia o zawrót głowy. Większość grobowców jest pusta, cenniejsze rzeczy zostały wywiezione do muzeów angielskich i egipskich, inne „wyszabrowali" pokątni poszukiwacze skarbów. Jedynie grobowiec faraona Tut-Ench-Amuna,odkryty stosunkowo niedawno, bo dopiero w 1922 r. zachował się w stanie nienaruszonym.

W drodze powrotnej zwiedzamy słynną świątynię Karnak, do której prowadzi aleja świętych owiec. Tu nasz przemiły przewodnik proponuje świetną trasakcję: nabycie autentycznych skarabeuszy z grobowca Tut-ench-Amuna. Pokusa jest wiel ka, tym bardziej, że autentyczność świętych żuków poparta jest autorytetem profesora wszechnauk. Kupujemy skarabeusze, by znacznie później przekonać się, że są „Made in England".

Wieczorem zachwyceni naszym przewodnikiem (nie odkryliśmy jeszcze jego oszustwa) zapraszamy go na kolację do restauracji hotelowej.

Profesor jest po prostu rozczulony. Mimo znacznej różnicy lat, jest wyraźnie zażenowany i onieśmielony. Nic zresztą dziwnego. Anglicy wpoili w Egipcjan przekonanie o wyższości Europejczyków, odizolowali się zupełnie od krajowców, a kolacja w towarzystwie tubylców uważana jest za wielki shocking. Próbujemy namówić profesora na wódkę, ale Kali jako wierny muzułmanin odmawia, pijąc jedynie wodę sodową. Dziwi mnie tylko fakt, że profesor odwraca się stale do nas plecami i obserwuje z zainteresowaniem jakiś fresk na ścianie. Tadeusz domyśla się pierwszy i korzystając z momentu, gdy Kali zajęty jest obserwacją nalewa whisky do szklanki. Profesor kosztuje, twarz jego rozpromienia się, ale ani jednym słowem nie zdradza, że poznał nasz manewr. W tutejszym pojęciu wszystko jest w porządku. Kali nalał sobie wody, a że ta zmieniła się w międzyczasie w whisky, nie było w tym jego winy, a więc i grzechu.

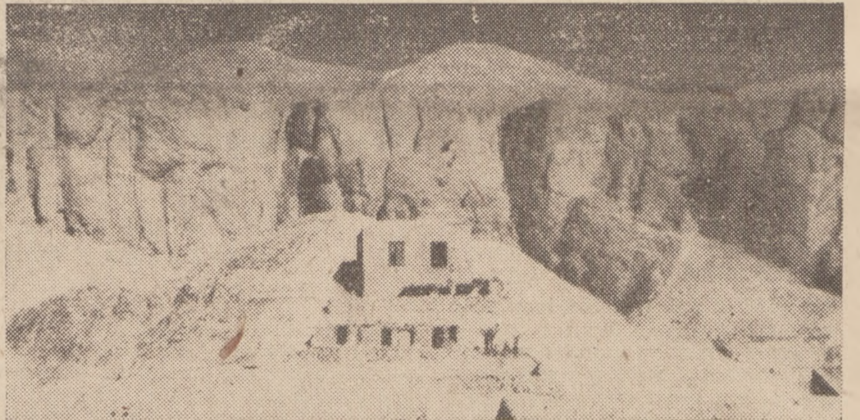
W trakcie kolacji profesor odwracał się coraz częściej, fez przekrzywił mu się na ucho i po każdej szklance „wody sodowej" powtarzał, że jedynie Polacy są prawdziwymi, dobrymi klientami.

III ASSUAN — PODRÓŻ „NA GAPĘ"

Projekt podróży do Assuanu podsunął nam podstępnie profesor wszechnauk Kali, który zaofiarował się bezinteresownie oprowadzać nas na tej wycieczce. Zainkasowawszy pieniądze na pokrycie kosztów przejazdu znikł na cały dzień, zapewniając, iż nazajutrz z rana wyjeżdżamy. Wyjechaliśmy istotnie. W czasie podróży dziwiło nas bardzo, że na każdym przystanku kolejowym profesor znikał z przedziału, odbywał długie konferencje z konduktorami, po których wracał wzburzony i przeklinał łapownictwo i złodziejstwo. Nie psuło to jednak zupełnie naszego humoru. Dopiero znacznie później, uświadomiliśmy sobie, iż w obie strony jechaliśmy po prostu na gapę, a pieniądze za bilety utonęły w przepastnych kieszeniach tużurka profesora. Assuan było ongiś miejscem wypoczynku faraonów i magnaterii egipskiej w okresie zimy. Tu na świętej wyspie słoni, władcy wysłuchiwali wyroczni dla przyszłych losów państwa. Tu była wreszcie największa i najsłynniejsza wytwórnia obelisków kamiennych, z których wiele w nowożytnych czasach powywożono podstępnie i zdobią dziś miasta Anglii i Ameryki.

Odjeżdżamy. Profesor Kali żegna nas ze łzami w oczach, mówiąc, że lepszych klientów nie spotkał nigdy. Nie wątpiliśmy w to wcale. Reszta naszych skromnych zasobów powędrowała do przepaścistych kieszeni czarnego tużurka.

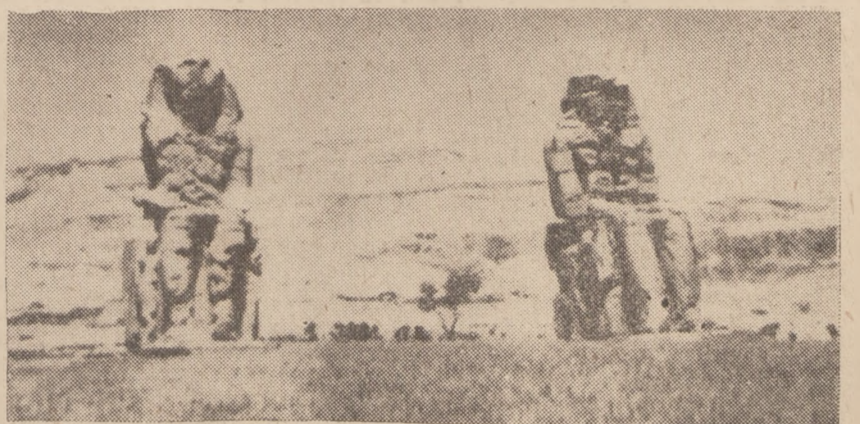
H. Góral i M Krzywda



Dolina Luxor, miejsce spoczynku faraonów egipskich.



Na ulicach Luxoru znajdują się posągi dawnych władców Egiptu.



Dwa wielkie posągi Ramzesa II strzegły wejścia do świętego miasta Teb

JAN ROJEWSKI

Z KRÓLEM U RADZIWIŁŁÓW

CZYLI ZŁE MIŁEGO POCZĄTKI

Zaczęło się jak najgorzej i nikt nie był tym zaskoczony. Imprezę organizowało przecież Ministerstwo Kultury i Sztuki. A więc, zamiast o przewidzianej godzinie dwunastej, wyruszyliśmy do Nieborowa o drugiej. I nie autokarem, jak to zaznaczono w zaproszeniach, lecz autognojem, to znaczy otwartą ciężarówką, z której wywalono przed chwilą gnój, żeby opróżnić miejsca dla literatów. Wprawdzie na dziedzińcu Ministerstwa tłoczyło się kilkanaście czarnych Chevroletów, ale te, jak wyjaśnił nam Stanisław Wygodzki, poeta-urzędnik, obsługują dyrektorów departamentów. Nie dziwimy się przeto, że w obliczu tak jawnej niesprawiedliwości społecznej, targnęła sercami literatów nienawiść klasowa do wspomnianych departamentów. Zwłaszcza, że dwie godziny czekania i potem dwugodzinna jazda na listopadowym wietrze, sprzyjały złym myślom. Zastanawiano się poważnie, czy przydzielenie budynku przy Rakowieckiej 4 na mieszkania dla literatów, lub muzyków nie ożywiło by bardziej literatury i muzyki niż działalność departamentów. Bardziej zziębnięci szczękali zębami w otwartym autognoju i marzyli głośno o jakimś masowym najściu na Ministerstwo, podobnym do zburzenia Bastylii. — To byłoby narodowe święto literatury... — wzdychali. Szybko jednak zamknęli usta, bo kłęby ziemi łowickiej wtargnęły tyłem do ciężarówki, pokrywając wszystkich i wszystko grubą warstwą pyłu. Już nie tylko poseł Król i Olcha, pisarze - chłopi, lecz nawet Lewin przypominał swoim wyglądem rolnika, stojącego przy młockarni. Prawda, że tę sylwetę rolnika psuły nieco okulary w aerodynamicznej oprawie i luźny bleser z szalowym kołnierzem. Owe kłęby kurzu zwiastowały jednak koniec udręki. Zjechaliśmy z asfaltu Warszawa — Łódź na drogę pałacową. Jeszcze parę uderzeń głowami o sztangi brezentowej budy, parę żałosnych skarg pisarzy - mieszczan i parę siarczystych przekleń pisarzy - chłopów, raptowny zgrzyt hamulców, kłębowisko upadających ciał, w którym nie sposób już rozróżnić pisarzy chłopów od niechłopów i jesteśmy u celu.

Jak spod ziemi wyrosła barokowa fasada, oświetlona słońcem i „odbita od ciemnej zieleni" angielskiego parku. W centrum okazały podjazd z wejściem, bez kolumnady, wyżej trzy smukłe, lukami przesklepione okna biblioteki, jeszcze wyżej — bogato rzeźbiony tympanon, wreszcie wysoki czerwony dach z rzędem okien mansardowego, drugiego piętra. Po bokach dwie kwadratowe wieże, ochełmione blachą.

Strzepując z siebie pył podróżny, zwracam uwagę posła Króla, który wydłubuje właśnie z oczu, nosa i uszu resztki tutejszej gleby pszeniczno buraczanej, że jako literat musi znosić wprawdzie dolę literacką, lecz jako poseł winien zaprotestować. — Jestem przede wszystkim chłopem — wyjaśnia — i jako takiemu nie wypada mi narzekać na drobne niewygody...

Ale i niechłopi przestali narzekać z chwilą przekroczenia progu Pałacu Nieborowskiego. Tuż u wejścia przy witały nas dwie rycerskie zbroje, jak żywe postaci rycerzy. Patrząc przez otworki w przyłbicach na zziębniętych gryzipiórków zdawali się zdumiewać: „Tak, byli ludzie w nasze czasy, nie to co wy, dzisiejsze masy..." Tymczasem masy, gościnnie przyjęte przez kustosza Nieborowa, dra Jana Wegnera, powierzyły wierzchnie okrycia poradziwiłłowskiej służbie, która okazała więcej przywiązania do miejsca niż do Radziwiłłów. Już pierwsze spojrzenie, a zwłaszcza błogie ciepło bijące od kaloryferów uprzytomniło mi, że z postępem technicznym Nieborów szedł niewątpliwie ramię w ramię. Dosięgła go kanalizacja, elektryfikacja, radiofonizacja i wreszcie, kolejność niniejsza nie jest przypadkiem, demokratyzacja. Ta ostatnia, w odróżnieniu do poprzednio wymienionych, bez zgody właściciela.

Kiedy mowa o właścicielach, warto wspomnieć, że Nieborów jest w tej chwili jedynym nienaruszonym przez wojnę dokumentem wielkopańskiej rezydencji w Polsce. W tym samym stanie go zastajemy, w jakim żegnał go 17 stycznia 1945 — książę Janusz Radziwiłł. Zasługa to niewątpliwa dyr. Muzeum Narodowego dra Stanisława Lorenza, który pamiętając o bezcennych skarbach Nieborowa, przybył tu natychmiast po wejściu wojsk radzieckich z gotowym dekretem w ręku, czyniącym z Nieborowa ośrodek muzealny, kulturalno - artystyczny i wypoczynkowy dla ludzi sztuki. Ważniejszą jednak niż dekret okazała się obecność Rafałowskiego, podówczas kapitana Wojsk Polskich, ściągniętego do Nieborowa przez dra Lorenza. W czasach wojennych, zarządzenia Rafałowskiego, wydawane z gestem generalskim, robiły swoje. Jeżeli wspomnieć jeszcze postawę kustosza Nieborowa dra Jana Wegnera, który niejednokrotnie, w owe dni ruchomych frontów, nastawiał własną głowę, by ratować majątek nieborowski dla narodu, zrozumiemy i na tym odcinku całą naturalność owego procesu ku demokratyzacji.

Jeszcze ten i ów macał rycerzy po żelaznych pośladkach, a już inni podziwiali głowę Niobe, jedną z trzech istniejących na świecie (poza Nieborowem, w Londynie i Watykanie) pierwszych kopii dzieła Skopasa z IV wieku. Fragmenty lapidarialne, greckie i rzymskie, wazy liczące dwa tysiące pięćset lat, urny starorzymskie, kryształowe żyrandole z Urzecza — to wszystko przyciągało naraz uwagę gości bardziej, niż spodziewana powszechnie wódka i zakąska. Mimo zmęczenia nikt nie usiadł na siedemnastowiecznych ławach, przywiezionych z Mediolanu a rozstawionych wzdłuż ścian. Nie wiem, czy kierowano się czcią należną zabytkom, czy też osobliwymi napisami na oparciach ław: „Ne sedeas sed eas" — „Nie siadaj lecz idź!". Wyjaśniono nam, że te siedemnastowieczne napisy wiążą się, najpewniej, z epidemią jakiejś zakaźnej choroby, która nawiedziła Mediolan; w ten sposób starano się zapobiec roznoszeniu zarazy. Czy nie należałoby wprowadzić podobnych napisów i objaśnień do wszystkich oddziałów Muzeum?

Tymczasem podano wódkę i zakąski. Naprzód wicedyrektor Wygodzki wzniósł toast na cześć dyrektora Michalskiego, po czym dyrektor Michalski wzniósł toast na cześć wicedyrektora Wygodzkiego, potem obaj wznieśli toast na cześć dyrektora Nieborowa, Wegnera, który natychmiast odwzajemnił się toastem na cześć obu toastujących. Wobec czego, kolejny toast ja wzniosłem, na własną cześć. To samo uczynił Csato... kilkanaście razy.

Za stołem w sali jadalnej Nieborowa zmieściliśmy się wszyscy. Dwadzieścia pięć osób. Z nakryć nieborowskich zostały tylko szklanki z inicjałami księcia Janusza Radziwiłła. Herbowe srebra stołowe są nieco innego pochodzenia. Należały, mianowicie, do hrabiego Moltke'go, ambasadora Rzeszy w Polsce. Młodszego pochodzenia były, oczywiście, dania. Bardzo świeże i bardzo smaczne. Zresztą, jak zawsze chyba w tym pałacu, pochodziły z okolicznych pól i obór, od miejscowej ludności.

Jeszcze spojrzenie na widoki miast włoskich, pędzla malarza włoskiego o stylu i nazwisku podobnym do Canaletta, licznie porozmieszczane w sali jadalnej i przechodzimy na główny punkt programu, to jest na dyskusję o twórczości samorodnej, do biblioteki, albo inaczej, sali kominkowej, na piętro. Po drodze podziwiamy ściany klatki schodowej, wyłożone holenderskimi kafelkami, zerkamy do „czerwonego salonu", podziwiając kanapę barokową z czasów Sobieskiego z pięknie tkanym wizerunkiem św. Jerzego zabijającego smoka. Nie możemy zwłaszcza oderwać oczu od jedynej kobiety, obecnej w tej chwili w pałacu, od Anny Orzelskiej, córki Augusta II, pędzla Silvestra, o długiej łabędziej szyi i dekolcie do pasa. Oczywiście nie pędzel, ani Silvester, lecz Anna Orzelska. Nic też dziwnego, że dyskusja nie kleiła się początkowo, bo mówiono o twórczości samorodnej, a myślano o wspomnianym dekolcie. Niemało uwagi zabrała również i sama biblioteka, której urządzenie i księgozbiór świadczą o dobrym smaku kolejnych posiadaczy, Radziejowskich, Lubomirskich, Ogińskich i Radziwiłłów. Już powierzchowne spojrzenie wyławia w kilkunastu angielskich szafach bibliotecznych z końca osiemnastego wieku białe kruki w rodzaju Biblii Brzeskiej, pierwodruku Bogarodzicy z 1506-ego roku itp. Dwa zabytkowe globusy, zrabowane przez Niemców w 1940 roku, a odnalezione przez dra Lorenza stoją znowu na swoim miejscu, pod wysmukłymi oknami. Powoli oswajamy się z urodą miejsca z ogromnym płomieniem kominka i coraz więcej z fragmentów toczącej się dyskusji dociera do naszej świadomości.

Prof. Czernik, redaktor „Okolicy Poetów" dzieli się właśnie swoimi przedwojennymi doświadczeniami. Często nawiązywał kontakt z twórcami samorodnymi, wyłącznie poeta mi, których twórczość jednak nie wyroczyła na ogół poza grafomanię. Uparci grafomani, prosili nawet, wobec odmowy drukowania ich utworów, o oficjalne przeznaczenie jednej z kolumn pisma na utwory grafomańskie. Inni gotowi byli wykupić cały nakład numeru, w którym ukaże się ich utwór. Te smutne doświadczenia prof. Czernika nie wróżyły na razie rozwiązania kwestii, którą postawił przedstawiciel C. K. Z. Z., Żeromski. Chodzi, mianowicie o to, żeby wielo tysięcznym rzeszom młodzieży robotniczej i chłopskiej, grupującej się obecnie wokół setek świetlic, dać i od powiedni repertuar i możność rozwijania zdolności twórczych, ujawniających się raz po raz w ostatnio organizowanych konkursach. W porównaniu z owymi grafomanami, będącymi finansowo w stanie wykupić cały nakład danego numeru, zagadnienie początkujących autorów chłopskich i robotniczych jest jednak i klasowo i jakościowo i ilościowo różne. Uzasadnił to w dwugodzinnym przemówieniu Jan Aleksander Król, redaktor „Wsi". Przypomniał społeczny autentyzm „Okolicy Poetów", zawieszony niejako w próżni społecznej, zagadnienie twórczości samorodnej ustawił w konkretnej rzeczywistości społeczno - politycznej, zahaczył o awans społeczny, szeroki i postępowy, w odróżnieniu od filantropijno - indywidualnego. Słowem wyczerpał teoretyczną stronę zagadnienia i... słuchaczy. Dyskusja nad praktyczną stroną zagadnienia wykazała, że do wszystkich niemal redakcji pism literackich i popularno - literackich napływają wielkim strumieniem utwory młodzieży przeważnie chłopsko - robotniczej, nieudolne, ale zawsze pełne nowych treści społecznych i nierzadko zdradzające ziarno talentu literackiego. Charakterystyczne, że ci „autorzy" nie proponują wykupienia nakładu w razie drukowania ich utworów, przeciwnie, pytają o honoraria. Tam był snobizm estetyzującego maminsynka, tutaj potrzeba mówienia o nader ważnych sprawach.

Jaki los tych wszystkich utworów? — Przeważnie wędrują do kosza redakcyjnego. Z wyjątkiem „Wsi", żadna z reprezentowanych na pogawędce Redakcji nie zajmuje się utworami samorodnymi. Jedni nie mają możliwości, inni nawet zainteresowania. Nie mówiąc o innych stratach, zaprzepaszcza się w ten sposób wiele autentycznego materiału, mogącego niejednokrotnie natchnąć pisarza zawodowego do zajęcia się tematem. W toku dyskusji odrzucono na ogół projekt prof. Czernika, utworzenia centralnej poradni autorów samorodnych, akceptując tego rodzaju instytucje w zakresie czysto administracyjnym. Gromadzenie, segregowanie, uprzystępnianie i rozsyłanie utworów do zainteresowanych instytucji czy redakcji. W sprawie konkretnego współdziałania redakcji pism literackich z początkującymi autorami zaproponowałem konkursy, w których o nagrodę ubiegaliby się nie tylko autorzy prac, lecz także redakcje przez które, w wewnętrznym konkursie, dana praca byłaby wyłoniona. Umożliwi to współpracę redakcji z autorem i ewentualną obróbkę literacką. Jeżeli uwzględnimy ponadto, że poszczególne pisma literackie różnią się dzisiaj przede wszystkim nie konwencjami artystycznymi lecz polityczno - społecznymi, zrozumiemy naturalne współzawodnictwo w wyławianiu talentów, uzasadniających w jak najpoprawniejszej formie literackiej, dane treści społeczno - polityczne. Inny zgoła obrót przyjęłaby sprawa w proponowanym przez prof. Czernika centralnym instytucie poradniczym, gdzie w zależności od wcale nieartystycznych przekonań kierownika instytutu, jedne treści byłyby tłumione, inne faworyzowane...

Po ukończeniu dyskusji, zapytał mnie jeden z pisarzy bywalców Nieborowa, który z braku mieszkania spędza tu nieraz tygodnie, czy nie zechciałbym obejrzeć największej atrakcji pałacu. Oczywiście! Bez słowa poprowadził mnie przez szereg komnat i korytarzy, aż przystanął przed okazałymi drzwiami. — Tu jest sypialnia — zaczął z namaszczeniem i czcią — samego... — Otworzył szeroko drzwi na pięknie urządzone wnętrze, — samego... Kruczkowskiego!



Fot. Film Polski

W Nieborowie koło Łowicza odbyła się Konferencja literatów zorganizowana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

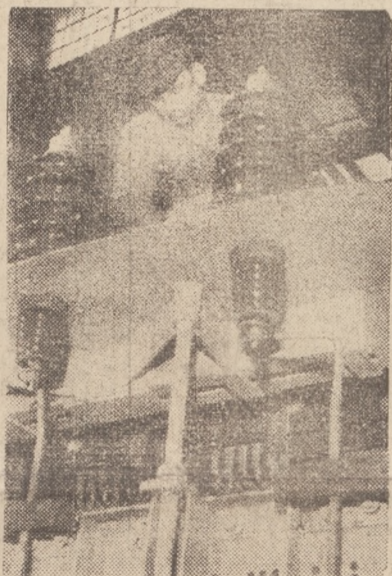
Film TYGODNIA



W Prezydium Rady Ministrów odbył się koncert uczestników Festiwalu Radiowego. Premier Cyrankiewicz wraz z małżonką witają przybywających gości. (S.A.P.)



Fragment budowy drugiej co do wielkości zapory wodnej w Czchowie (woj. krakowskie). Ukończenie budowy przewidywane jest w 1948 r. (Film Polski)



Montaż transformatora o mocy 5.000 klw. w Zjednoczeniu Przemysłu Maszyn Elektrotechnicznych „Elektrobudowa" w Łodzi. (Film Polski)



Otwarcie nowej linii tramwajowej na trasie nowoprzebitej Marszałkowskiej. (S.A.P.)



Połów Karpi w Łazienkach. Na wiosnę wpuszczono zarybek, obecnie złowiono 1.200 sztuk wagi przeciętnie 1 kg. (Film Polski)

100 WIERSZY O SPORCIE

Pesymiści mają znowu okazję do utyskiwania. Na terenie międzynarodowym ponieśliśmy jeszcze jedną porażkę. Tym razem piłkarzy „wyręczyli" pięściarze.

Przegrana w Pradze w stosunku 4:12 jest niezmiernie dotkliwa, chociarz liczyliśmy się z nią, bowiem naszę reprezentacyjne pięściarstwo przeżywa obecnie odmłodzenie sił. Młodzież po przejściu starych „repów" na emeryturę, nie nabrała jeszcze dostatecznej rutyny, potrzebnej do bojów na obcym terenie.

Właśnie à propos obcego terenu. Skrzywdzono nas nie ulega to żadnej wątpliwości. Bazarnik, Rademacher i Szymura nie przegrali swoich walk. Jenden z naszych „officielów" w Pradze wyraził się o węgierskim sędziu punktowym, że „powinien on sędziować w klipę lub ping-ponga". Skąd takie postponowanie ping-ponga, to inna sprawa.

Najdotkliwiej skrzywdzono Szymurę. As atutowy naszej ósemki był lepszy we wszystkich trzech rundach, przy czym jego przeciwnik był w drugim starciu kilka razy na deskach.

Pociechą z batalii praskiej jest okoliczność, że nawet publiczność przyjmowała werdykty sędziów gwizdem oraz opinia prezesa Związku Bokserskiego CSR, że wynik 8:8 byłby sprawiedliwszy.

Trener naszych pięściarzy, Sztam wyraził się po meczu dobitnie i charakterystycznie: „To była wielka granda..."

Z taką pociechą opuszczała nasza reprezentacja Złotą Pragę, wracając tylko z dwoma zwycięzcami, Antkiewiczem i Chychłą.

„Przedolimpijczycy" nasi w lekkoatletyce złożyli ślubowanie w stałym Ośrodku w Olsztynie. W ośrodku przebywają tylko ci lekkoatleci, którzy osiągnęli minima, uprawniające do trzech „kółek" olimpijskich. Prawo do zaliczenia do drużyny olimpijskiej dają dopiero cztery „kółka", przy czym żaden z nich nie osiągnął w ubiegłym sezonie potrzebnego tu minimum. Warto podkreślić, że charakter stałego ośrodka przed olimpiadą jest eksperymentem w historii naszych przygotowań do Igrzysk Olimpijskich.



Rys. J. Żebrowski

Szymura był lepszy we wszystkich trzech starciach z Netuką, ale sędziowie przyznali zwycięstwo Czechowi.

Napierała, zawodnik warszawskiej Sarmaty znalazł się pierwszy na liście dziesięciu najlepszych kolarzy szosowych w ubiegłym sezonie. Wyróżnienie to należało się słusznie „Tygrysowi" — jak go popularnie nazywają — bo Napierała istotnie był najlepszym, a zarazem najambitniejszym i najpracowitszym szosowcem w sezonie, nie opuszczając ani jednej z 11 ogólnopolskich imprez. Okoliczność, że nasz „Tygrys" ma 40 lat, jest jeszcze jednym jego atutem. Napierała jest symbolem kolarza szosowego w kraju. Pamiętam, kiedy w tegorocznym wyścigu Dokoła Polski, czy w mistrzostwach górskich publiczność zgromadzona wzdłuż całej trasy, widząc koszulkę jakiegoś kolarza wołała entuzjastycznie: „Brawo Napierała!", choć „Tygrysa" wcale nie było w danej chwili.

W życiu sportowym również nie wolno tolerować niesubordynacji dlatego też z całym uznaniem powitać należy uchwałę czołowego klubu Zagłębia, RKU-Sosnowiec, który ukarał dwóch swoich czołowych piłkarzy zawieszeniem na dwa lata za brak dyscypliny i niesportowy tryb życia.

Poznańskiej Warcie, faworytowi do tytułu piłkarskiego mistrza Polski przybył groźny rywal w zespole krakowskiej Wisły, która dwukrotnym zwycięstwem nad chorzowskim AKS wyrównała stosunek punktów z drużyną poznańską.

Liga koszykowa, która wkrótce rusza do boju o tytuł mistrza Polski, ma już komplet klubów do którego przybyły ostatnio po eliminacjach dwa zespoły łódzkie, AZS i TUR.



rys. J. Żebrowski

Słabszy niż zwykle Torma wypunktował debiutanta w reprezentacji Szymankiewicza

Siatkarze Spółdzielczego Klubu Sportowego nie łatwo zrezygnowali z tytułu mistrza Warszawy i dopiero po trzecim meczu z mistrzowską drużyną Polski, warszawskim AZS schylili przed nim czoła.

Najlepszy amatorski tenisista na świecie, Amerykanin Jack Kramer, podzielił los innych pierwszych rakiet świata, jak Tilden i Perry, przechodząc na zawodowstwo. Kramer podpisał kontrakt na niebagatelną sumę 100.000 dolarów. Jest to największe honorarium, jakie kiedykolwiek otrzymał tenisista-amator, przechodząc na zawodowstwo.

Otwarcie teatru „Osa" w Łodzi

Dnia 15 listopada b. r. otwarty został w Łodzi (przy ul. Zachodniej 43) teatr literacko - satyryczny „OSA".

Premiera p. t. „PIERWSZA ŻĄDŁA" daje przegląd satyry politycznej, piosenki, humoru i tańca.

Grają: H. Brzezińska, K. Hanusz, duet Sutt, St. Piasecka, B. Halmirska, W. Zwoliński, Z. Łuczak, M. Dąbrowski, J. Darski i H. Szwajcer.

Przy fortepianie: Z. Wiehler i M. Suchocki.

Teksty: W. L. Brudziński, M. Eile, Z. Gozdawa, Kamyczek, L. J. Kern, A Kitschman, H. Rostworowski, I. Sikirycki, St. Sojecki, St. Straus, W. Stępień i G. Timofiejew.

Kierownikiem artystycznym teatru jest T. Sutt, literackim G. Timofiejew, muzycznym Z. Wiehler, administracyjnym H. Szwajcer.

WYWIAD „TYGODNIA" Z PREZESEM »SPOŁEM«

Główny Zjazd Delegatów „Społem" to zamknięcie pewnego wyraźnego okresu w rozwoju spółdzielczości. Podsumowanie jego doświadczeń i otwarcie nowego okresu. Wysłannik „Tygodnia" zwrócił się do prezesa „Społem" posła Jana Żerkowskiego i uzyskał wywiad, który zamieszczamy poniżej.

— Jak Pan Prezes ocenia osiągnięcia minionego okresu trzyletniego?

— Lubelski Kongres Spółdzielczy, który odbył się równe trzy lata temu, dokonał zjednoczenia poważnionej spółdzielczości spożywczej i rolniczej oraz wciągnął spółdzielczość do budowy nowej, demokratycznej Polski. Zadania, jakie stanęły przed spółdzielczością, były olbrzymie. Trzeba było stworzyć aparat, który by uczciwie i najtaniej zebrał ze wsi żywność i rozdzielał ją wśród odbudowującej przemysł klasy robotniczej. Trzeba było zorganizować aparat handlowy na dawnych Ziemiach Rzeczypospolitej oraz na Ziemiach Odzyskanych, tak, żeby napływająca ludność mogła w nim znaleźć oparcie w warunkach początkowego chaosu i wyludnienia.

Wykonanie wielkich zadań powierzonych przez Państwo oraz wynikających z potrzeb narodu zmusiło spółdzielczość do dużego wysiłku organizacyjnego, którego rezultatem jest obecny stan posiadania. **Zamiast przedwojennych 62 oddziałów handlowych i kilku fabryk obecnie po trzech latach działalności w nowych warunkach społeczno-politycznych „Społem" posiada sieć 285 hurtowni powiatowych i 106 wojewódzkich oddziałów różnych branż, ponadto 75 zakładów przemysłowych i 280 największych młynów w Polsce.** Wydział Przemysłowo - Rolny, powstały w wyniku przyłączenia do „Społem" Zrzeszenia Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej opiekuje się zakładami przemysłu rolnego na resztówkach. **Trzeba podkreślić wielki wkład „Społem" w zagospodarowanie Ziem Odzyskanych, gdzie Związek nasz stworzył pełną sieć hurtową i ułatwił rozbudowę spółdzielczości na tym terenie.**

W oparciu o „Społem" liczba spółdzielni w Polsce wzrosła z 5.704 na 12. 314, ilość sklepów z 4.200 na blisko 20.000. Liczba członków spółdzielni wzrosła do 3.800.000. Dynamika rozwojowa nie słabnie w ostatnich czasach, wykazując dalsze tempo.

— Jakie akcje przeprowadzone przez „Społem" zasługują na największą uwagę?

— W pierwszym okresie powojennym spółdzielczość wzięła na siebie zadanie zebrania świadczeń rzeczowych i aprowizacji ludności pracującej miast. Razem ze zbożem z innych akcji przez magazyny „Społem w okresie 2 i pół lat przeszło 2.303.000 ton ziarna. Rozwija się też wolny skup zboża, sięgający setek tysięcy ton rocznie. W dziedzinie mleczarstwa i jajczarstwa „Społem" stało się czynnikiem pierwszorzędnego znaczenia. Ponad połowa całego masła mleczarskiego w Polsce w ciągu trzech kwartałów 1947 roku przeszła przez ‚Społem". W jajczarstwie ‚Społem" skutecznie wpływa na ceny i na eksport. W 1947 roku zebrano 160 milionów jaj, z czego 35 milionów poszło za granicę. Dalej akcja „Przemysł dla wsi", wyrażająca się w dziesiątkach miliardów złotych, odbiór i rozprowadzenie wszystkich artykułów UNRRA, dystrybucja artykułów monopolowych, dystrybucja ponad 50 proc. całego cukru i ponad 50 proc. wszystkich materiałów włókienniczych.

„Społem", zawdzięczając poparciu Rządu Ludowego rozwinęło się tak, że jego obroty w stosunku do obrotu central spółdzielczych przed 1937 rokiem wzrosły siedmiokrotnie. Obroty te wynoszą 19 % w stosunku do dochodu społecznego.

Rozrost spółdzielczości i Centrali „Społem" jest tak znaczny, że dawne ramy organizacyjne, ustalone na Kongresie Lubelskim, muszą ulec zmianie. Jednym z naczelnych zadań Zjazdu Delegatów będzie ustalenie wytycznych dla zmian strukturalnych.

— W jakim kierunku, zdaniem Pana Prezesa, pójdzie reorganizacja?

— Reorganizacja powinna zmierzać do zapewnienia największej swobody poszczególnych central branżowych, przy jednoczesnej koordynacji ich zadań, w Centralnym Związku Spółdzielczym który zapewniłby możność wykonywania jednolitego planu gospodarczego przypadającego na sektor spółdzielczy w planie ogólnonarodowym. W planie tym na pierwsze miejsce wysuwa się kwestia zorganizowania wymiany towarowej pomiędzy wsią i miastem.



JAN ŻERKOWSKI
Prezes „Społem"

Spółdzielczość to nie praca nad ludem, nie praca z ludem — to praca ludu samego

R. Mielczarski



rys. Jotes

LEON MARSZAŁEK
Dyrektor Biura Prezydialnego.



LEONARD LENK
Sekretarz Zarządu.



JÓZEF DOMINKO
Pełnomocnik Zarządu



STANISŁAW FEDECKI
Wiceprezes „Społem" i przewodniczący Komisji Wiejskiej.

Adam Przybyliński

CZY RUCH SPÓŁDZIELCZY ZDAŁ PRÓBĘ ŻYCIA



rys. Jotes
JÓZEF NIEMIEC
Wiceprezes „Społem"



rys. Jotes
JAN DOMAŃSKI
Wiceprezes „Społem"

Gdy, w listopadzie 1944 r. na wyzwolonym skrawku Rzeczypospolitej budziło się do życia Państwo, oparte na nowych podstawach — ruch spółdzielczy stanął przed dziejową próbą dojrzałości.

„...Przed ruchem spółdzielczym stoją obecnie możliwości rozwojowe, jakich w ciągu swego istnienia jeszcze nigdy nie miał, mamy obecnie możliwości urzeczywistnienia najdalej sięgających naszych dotychczasowych planów i zamierzeń. Możliwości tej nie wolno nam ominąć.

Rząd w programowym swym manifeście zapowiedział wszechstronne popieranie instytucji spółdzielczych, spełniając tym wspólną część programu wszystkich ugrupowań podziemnej Polski, które wszystkie zapowiadały jak najszersze popieranie spółdzielczości w przyszłej wolnej Polsce..."

Tak głosiła odezwa przedkongresowa, skierowana do wszystkich spółdzielni działających na wolnym terenie.

25 i 26 listopada 1944 r. zwołany w Lublinie Pierwszy Powojenny Kongres Spółdzielczy, powziął decydujące uchwały i tuż po nim nowoutworzony Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P. „Społem", rozpoczął swoją działalność.

I dziś, przed Głównym Zjazdem Delegatów, zwołanym na te same historyczne listopadowe dni, możemy na podstawie trzyletniej powojennej działalności dać odpowiedź na zasadnicze pytanie: czy ruch spółdzielczy zdał wielką próbę życia, czy spełnił wszystkie pokładane w nim oczekiwania?



rys. J. Żebrowski
TEODOR PIOTROWSKI
Wiceprezes „Społem"

Nie chcemy oceniać wyników własnej działalności, lecz stwierdzenie pewnych zasadniczych faktów trzyletniego okresu jest konieczne, by w sposób syntetyczny zdać sobie sprawę z sytuacji i dorobku ruchu spółdzielczego.

Podstawowym osiągnięciem jest niewątpliwie zmiana roli i miejsca spółdzielczości w ustroju gospodarczym Polski.

Kierunki i zasięg różnych form spółdzielczych, będące wynikiem przypadku w gospodarce przedwojennej, gdy uspołecznionemu ruchowi raz po raz rzucano kłody pod nogi — znikły. Dziś cały wielki obszar gospodarki narodowej został powierzony spółdzielczości, która według zasadniczych punktów planu obejmuje rolę drugiego podstawowego sektora uspołecznionego obok sektora państwowego.

Obecnie głównym kierunkiem, którym dąży gospodarka spółdzielcza jest złożona funkcja wymiany między wsią i miastem. Wybitnie rozszerzyły się również inne odcinki działalności ruchu: spółdzielczość mieszkaniowa, księgarsko - wydawnicza oraz drobny przemysł.

Podobna zmiana roli spółdzielczości w gospodarce ogólnonarodowej mogła dokonać się jedynie dzięki pełnemu życzliwości i zrozumienia stosunkowi Rządu. Cała polityka władz, uchwały na odcinku planu gospodarczego czy też nacjonalizacji przemysłu potwierdzają to w pełnej rozciągłości. Jest rzeczą znamienną, że w obliczu nowej pozycji i nowych zadań ruch spółdzielczy zerwał zdecydowanie z neutralnością polityczną, a ściśle współpracuje z demokratycznym ruchem politycznym i związkami zawodowymi.

Wielkie zadania nałożone na spółdzielczość mogły być wykonywane jedynie przy zjednoczeniu organizacyjnym całego ruchu. Historyczne uchwały Kongresu Lubelskiego, które zjednoczyły działalność rewizyjną i gospodarczą stały się podstawą do dokonania wielkich osiągnięć. Również porozumienie zawarte między Zarządem Głównym „Społem" i Zarządem Związku Samopomocy Chłopskiej, ustaliło nowe formy ruchu spółdzielczego na terenie wiejskim.

W ciągu trzechletniej działalności nastąpiło znaczne powiększenie sieci placówek i masy członkowskiej. Liczba spółdzielni na terenie całego kraju wzrosła z 5.700 do 12.300, ilość sklepów z 4.200 na blisko 20.000, liczba drobnych wytwórni z 1.800 na 6.000. Także znaczny wzrost wykazuje liczba członków spółdzielni, która ostatnio osiągnęła cyfrę 3.800.000.

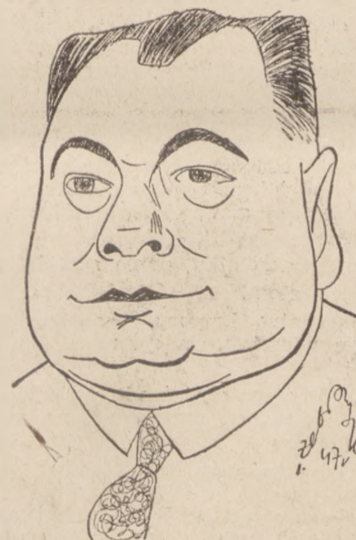
Sieć placówek handlowych „Społem" poszerzyła się w tym okresie z 62 na 458, a zakładów wytwórczych i młynów z 10 na 342. Do Związku „Społem" należy w tej chwili 78 proc. wszystkich spółdzielni handlowych, działających na terenie Państwa. Najsilniej rozwinięta jest sieć w Okręgu Lubelskim, następnie Radomskim, Poznańskim, Rzeszowskim i Warszawskim.

Doceniając znaczenie czynnika kontroli społecznej przystąpiono do zorganizowania samorządu wewnętrznego. Obecnie działa już owocnie 251 rad oddziałowych, a w okresie od 14 września do końca października br. wyłoniono i wybrano delegatów na Główny Zjazd w Warszawie.

Wielkie usługi spełnione przez spółdzielczość najlepiej wyrazić można w cyfrach obrotów gospodarczych. Ze zł 10 miliardów w r. 194[illegible] [illegible] się one ośmiokrotnie w roku następnym, a podsumowanie pierwszej połowy br., daje już sumę zł 85 miliardów. W cyfrach tych obroty Związku „Społem" stanowią 6,4 miliardów w 1945 r., 64,7 miliardów w 1946, a pierwsze półrocze br. daje już 64 miliardy, czyli tyle co cały poprzedni rok. W stosunku do obrotów przedwojennych po przeliczeniu wzrost obrotów jest siedmiokrotny. Te cyfry przesunęły „Społem" w tabeli spółdzielczych hurtowni świata z 9 miejsca, jakie zajmowało przed wojną na 3 — po ZSRR i Wielkiej Brytanii.

Dzięki swym placówkom i sieci usługowej, docierającej do najodleglejszych terenów kraju „Społem", mogło przeprowadzić rozdział i rozdawnictwo towarów reglamentowanych i UNRRA oraz cały szereg akcji zleconych przez państwo, a mających ogromne znaczenie ogólnonarodowe, jak np. skup ziemiopłodów w celach aprowizacyjnych, akcja świadczeń rzeczowych, odbiór zboża importowanego oraz akcja „Przemysł dla wsi".

Powodzenie ich, osiągnięte suche cyfry i fakty stwierdzają w całej rozciągłości, że spółdzielczość polska nie zmarnowała wielkiej szansy, którą otrzymała w latach przełomu. Pomimo tego jednak, widzimy jeszcze braki i niedociągnięcia naszego ruchu. Musimy dołożyć wiele wysiłku w celu pogłębienia świadomości społecznej milionowych mas członkowskich, rozszerzyć bazę członkowską, usprawnić aparat gospodarczy i przebudować strukturę ruchu, by ją dostosować do nowego modelu gospodarczego Państwa i nowych wielkich zadań oczekujących jeszcze ruch.



rys. J. Żebrowski
MARIAN NICZMAN
Dyr. Biura Sam. Spółdzielczego

HELIODOR KUC

AGATKO, GDZIE TY?

Satyryczno-parodystyczna
POWIEŚĆ KRYMINALNA

NIE WSZYSTKO TO JESZCZE

ROZDZIAŁ I

AGATKA GINIE W TAJEMNICZYCH OKOLICZNOŚCIACH — NA MIEJSCU PRZESTĘPSTWA — PIERWSZE ŚLADY — KOMISARZ MONK USZCZĘŚLIWIONY

Haparanda jest jednym z najpiękniejszych miast na świecie, a jednak nie można jej nazwać szczęśliwą. Od pewnego czasu dawała jej się dotkliwie we znaki zbrodnicza, a nieuchwytna działalność „Czarnej Ręki". Nie tylko rozbierano mieszkańców z płaszczów i ubrań w biały dzień na ulicy; nie tylko dokonywano zuchwałych włamań i rabunków po domach; przed kilku dniami porwano wraz z samochodem dyrektora Banku Emisyjnego. Co prawda, dyrektor miał nierozważny zwyczaj przewożenia osobiście większych sum pieniędzy; gdy mu naczelnik policji śledczej zwracał na to nieraz uwagę, dyrektor tłumaczył, że właśnie ten sposób przewożenia gotówki jest najbardziej przezorny, nikomu bowiem z członków „Czarnej Ręki" nie przyjdzie do głowy, że zniszczona teka dyrektora leżąca jak gdyby od niechcenia w małym samochodzie, prowadzonym przez niego samego, bez eskorty, nawet bez szofera, może zawierać miliony świeżutkich, dopiero co wyjętych spod prasy, banknotów. Na domiar, tego dnia gdy nastąpiło porwanie, dyrektor był po przyjemnym śniadanku, spożytym w towarzystwie jednej z czarujących aktorek haparandzkich. Odwiózł ją jak zwykle, do jej podmiejskiej willi, wysiadł wraz z nią, zamknął samochód na klucz, zostawiając w nim od niechcenia tekę, odprowadził artystkę przez ogródek do drzwi, po czym powracał, aby się udać wraz z teką do banku. W momencie, gdy siadał do samochodu, wyszło jak spod ziemi dwóch mężczyzn, którzy ze słowami: „spróbuj — no tylko krzyknąć?" pokazali struchlałemu dyrektorowi dwie lufy rewolwerów. Ulica, jakby naumyślnie była zupełnie pusta. Mężczyźni wsiedli wraz z dyrektorem do samochodu, i jeden z nich, trzymając lufę rewolweru przy żebrach dyrektora, kazał mu jechać za miasto, do lasu. Co się dalej działo, dyrektor nie pamiętał, po przybyciu bowiem na miejsce złoczyńcy przytknęli mu do nosa chustkę z jakimś mocnym narkotykiem, zapewne chloroformem. Dopiero po kilku godzinach, gdy wszelki ślad bandytów zaginął, znaleziono dyrektora, śpiącego kamiennym snem w samochodzie z przedziurawionymi oponami i wykręconą kierownicą. Teki, oczywista, nie było, dyrektor leżał na poduszkach tylko w bieliźnie. I w tym wypadku, jak zazwyczaj, opryszki pozostawili swój (jak mówiono w Haparandzie) bilet wizytowy: była to kartka bristolowego papieru, z wyzłoconymi brzegami, z pieczęcią, wyobrażającą czarną dłoń i z napisem: „To jeszcze nie wszystko". Tym razem kartka przypięta była do koszuli na plecach dyrektora.

Nic dziwnego, że w tych warunkach naczelnik policji śledczej Haparandy, Alfred Monk, miał dużo roboty i przykrości. Dnia 12 maja powrócił właśnie do domu około 9 z rana, po całonocnej obławie na czarnorękalów, jak nazywano potocznie w mieście członków bandy. Zmęczony był nieludzko, ale zadowolony, ponieważ w melinie przy ul. Akacjowej, udało się złapać trzech tajemniczych osobników, co do których nie ulegało wątpliwości, że byli członkami, a może nawet hersztami „Czarnej Ręki". Na razie nie można było nic od nich wydobyć, prócz tego, że w swym złodziejskim żargonie jednego zwą Pif, drugiego Paf, trzeciego Hosa. Przyjęło ich więzienie.

Monk uczuł potrzebę snu. Zaczął się z rozkoszą rozbierać, słuchając jak z łazienki dochodzi szmer gorącej wody, kazał bowiem służącej przygotować sobie krzepiącą wannę. Nagle usłyszał z gabinetu jej gwałtowny krzyk:

— Panie naczelniku, panie naczelniku!

— Co się stało?

—Gubernator krzyczy, wrzeszczy przez telefon żeby pan naczelnik natychmiast się zameldował u niego!

— Czegóż może chcieć ode mnie ten bałwan? — pomyślał Monk, wciągając ze wstrętem dopiero co zdjęte spodnie: — Powiedz, że zaraz będę.

Monk od dwudziestu lat pracował w policji. Zgodnie z przepisami, obowiązującymi w Haparandzie, rozpoczął służbę od zwykłego posterunkowego, aby przechodząc wszystkie stopnie: poznając tym sposobem wszelkie dziedziny służby policyjnej, zdobyć doświadczenie, konieczne do piastowania tak odpowiedzialnego stanowiska, jakim jest stanowisko szefa służby śledczej. Wiedział więc Monk, że jeśli gubernator krzyczy i wrzeszczy — to nie przelewki, i sprawa musi być najwyższej wagi. Nie czekając nawet na samochód i szofera, który marudził w garażu, Monk szybkim krokiem podążył do pałacu gubernatorskiego, który szczęśliwie znajdował się na rogu tej samej ulicy.

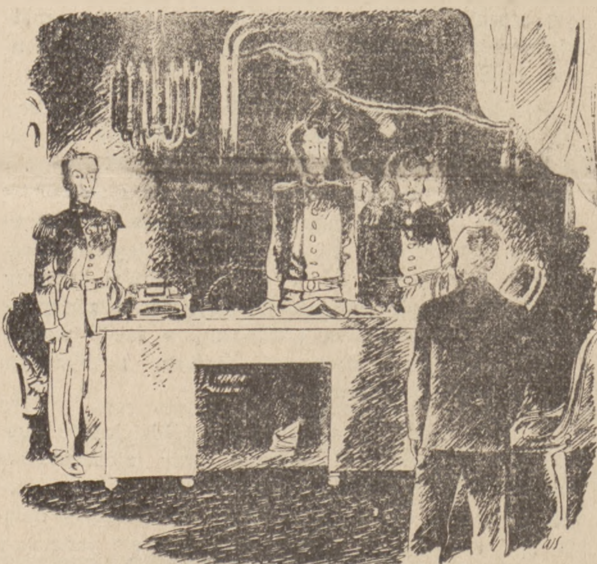
Sekretarz osobisty gubernatora dr Feder przyjął go z oznakami najwyższego pomieszania i zniecierpliwienia.

— Natychmiast do gabinetu, natychmiast! — zawołał, nie udzielając żadnych wyjaśnień: — Pan gubernator czeka od godziny!

Nie było to prawdą, ponieważ od telefonu gubernatora do chwili zameldowania się tutaj Monka, nie mogło upłynąć więcej niż dziesięć maximum dwanaście minut. Ale sekretarze gubernatorów lubią przesadzać i wyolbrzymiać sprawy.

W gabinecie oczom Monka przedstawił się taki obraz: gubernator stał przy biurku zmarszczony i blady jak płótno; po obu jego stronach stało dwóch wysokich urzędników policyjnych — obwodowy komendant policji i komendant miejskiej policji zmotoryzowanej, obydwaj w swych granatowych mundurach z czerwonymi kołnierzami i srebrnymi guzikami, z szablami i pistoletami u boków.

— Panie Komisarzu — odezwał się gubernator do Monka, a głos jego wydał się Monkowi, którego nagle poczęła ogarniać znowu senność, jak gdyby drwiący.



Rys. Wacław Siemiątkowski

Gubernator stał przy biurku i był blady jak płótno; po obu stronach stało dwóch wysokich urzędników policji...

— Aresztują mnie — przemknęło mu przez senną głowę: — niedość sprawnie pracowałem nad likwidacją „Czarnej Ręki", ale nie wiedzą jeszcze, jaki był połów dzisiejszej nocy. Będę się bronił.

— Panie Komisarzu — mówił gubernator: — Stała się rzecz okropna, niesłychana, nie do wiary, przechodząca wszelkie pojęcie! Jedyna moja nadzieja, jedyna deska ratunku, to pan. — I głos gubernatora załamał się.

— Słucham ekscelencję — odpowiedział Monk, prężąc się służbiście i odetchnąwszy w duszy z ulgą.

— Przed pół godziną porwana została w Zoo moja córeczka!

— Zrobi się, ekscelencjo! — powiedział Monk, opanowany znowu przez napad senności, nie zdając sobie sprawy, jak niestosowna jest jego odpowiedź.

— Ma pan całkowitą swobodę działania i wszelkie pełnomocnictwa — mówił gubernator, chodząc gorączkowo po gabinecie i jakby nie dosłyszawszy odpowiedzi komisarza. — Ci panowie — wskazał na komendantów — zreferują panu okoliczności i szczegóły porwania.

Gubernator wyładowawszy cały swój ból, uczuł, że mu jego stalowe nerwy odmawiają posłuszeństwa. Chcąc ukryć przed podwładnymi swój stan skinął ręką, by opuścili gabinet. Ci, skłoniwszy się nisko, na znak, że go rozumieją i współczują mu, uczynili zadość jego niememu żądaniu.

W gabinecie dra Federa zabrał głos komendant policji zmotoryzowanej.

— Trudno nam służyć panu, panie Komisarzu,— zwrócił się do Monka: — konkretnymi szczegółami. Sami niewiele wiemy. Wiemy tylko to, że piastunka, a ściśle biorąc mamka małej Agatki, udała się z nią dzisiaj około 9 z rana, jak codzień na poranną przechadzkę do Zoo. Dziecko spało w wózeczku. Piastunka siadła na ławce w ustronnej alei, żeby gwar i hałas nie przeszkadzał maleństwu. Nagle spostrzegła, że dziecka nie ma, kołderka odrzucona, w wózku nieład. Zaczęła krzyczeć przeraźliwie. Zjawił się policjant nr 6969, dyżurujący w ogrodzie. Zrozumiawszy co zaszło, wybiegł za bramę, wpadł do narożnej apteki i zaalarmował stąd telegraficznie mnie, sekretariat pana gubernatora pogotowie ratunkowe, straż ogniową i Towarzystwo Opieki nad bezdomnymi dziećmi. Nawiasem mówiąc, trzy ostatnie instytucje zaalarmował zupełnie niepotrzebnie, ze zbytku gorliwości, a nawet ze szkodą dla przebiegu śledztwa, bo naturalnie, za dużo ludzi zostało wtajemniczonych i rzecz nabrała od razu rozgłosu. Komentarze i plotki w takich wypadkach utrudniają tylko i wikłają — no, pan sam to najlepiej rozumie. Co się tyczy pana komendanta obwodowego i mnie, pośpieszyliśmy natychmiast do pana gubernatora, który wezwał telefonicznie pana. To zdaje się wszystko. Oczywista zarządziliśmy, aby tam w Zoo pozostało wszystko tak, jak w chwili wypadku — wózek, mamka, kołderka, nieład i tam dalej, żeby pan mógł przeprowadzić odpowiednie badania. Miejsce wypadku jest otoczone przez policję, która odpędza gapiów.

Monk słuchał z natężoną uwagą relacji komendanta, nie przerywając jej żadnymi pytaniami, jak to miał w zwyczaju. Wiedział zresztą, że komendant nic mu więcej nie powie. Ale mózg Monka już pracował.

—Dziękuję panu komendantowi — rzekł dosyć sucho i wyniośle, pomny na szczególne pełnomocnictwa, jakich mu udzielił gubernator. — W danej chwili nie są mi panowie potrzebni. Będę robił, co do mnie należy.

Co mówiąc, sięgnął po słuchawkę telefonu na biurku dr Federa. Nakręcił nr 155-00 i powiedział umówionym szyfrem:

— Hallo, tu Fred! To ty dzieweczko? Iskander z Pstrykiem natychmiast Zoo. Czekam.

Pożegnawszy komendantów, Monk szybkim krokiem pośpieszył do Zoo. Od placu Tiumalnego, gdzie na jednym z rogów stał pałac gubernatorski, wiodła do Zoo szeroka i pięknie zadrzewiona aleja Jaśminowa, która swym wylotem wychodziła na główną bramę Zoo, mając na lewo i na prawo od siebie, wzdłuż ogrodzenia parku, dwie boczne: ulicę Akacjową i ulicę Różaną. Na rogu Jaśminowej i Akacjowej, mieściła się właśnie apteka, z której telefonował policjant nr 6969; obok był urząd pocztowy „Haparanda XXV", na którego murze wisiały dwie skrzynki do listów: żółta do korespondencji ogólnej i niebieska—do miejskiej. Piastunka Agatki mogła odbywać drogę z pałacu do Zoo tylko aleją Jaśminową, jako najkrótszą i wiodącą wprost do celu. Toteż komisarz Monk, śpiesząc tędy, rzucał bystre spojrzenia na lewo i na prawo, badając ogólnie sytuację. Ale nic podejrzanego nie zauważył. Mijając aptekę, zlustrował ją błyskawicznie, przyjrzał się obydwu skrzynkom, nie wszakże nie stwierdził.

W Zoo na spotkanie jego szła blada pani, jasnowłosa, z oczami zaczerwienionymi, z przerażeniem na zapłakanej twarzy. Była to zrozpaczona gubernatorowa, która na wiadomość o nieszczęściu przybyła swym Buickiem natychmiast do Zoo. Monk pochylił się do jej ręki, uścisnął ją mocno, ucałował i rzekł krótko, czując, jak go ogarnia płynąca od gubernatorowej fala subtelnych perfum „Quatre Epingles" Cotty'ego — zapach, który lubił ponad wszystkie:

— Odwagi, ekscelencjo, odwagi! Najlepiej, jeśli pani uda się do domu.

Przy ławce stała mamka z głupią miną. Wywiadowca Pstryk z Iskanderem był już na miejscu. Monk dał psu do obwąchania wózek i kołderkę dziecka, po czym Iskander, już z własnej inicjatywy, zaczął obwąchiwać mamkę i gubernatorową, budząc za każdym razem u nich uczucie mimowolnego lęku. Robił to tak długo i starannie, przebiegając kolejno od jednej do drugiej, że zwróciło to uwagę Monka i Pstryka. Popatrzyli na siebie ze zdziwieniem, jakby mówiąc: „Coś w tym musi być" — po czym dyskretnie lecz przenikliwie obejrzeli obydwie kobiety od stóp do głów. Monk zwrócił się do gubernatorowej.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Kazimierz Pollack

Jak Angielczykowie wojnę Polszcze wypowiadali

Roku Pańskiego 1616 — gdy ku latu już się miało — niezwykła wieść obiła się o mury Civitatis Antiquae Varsaviae, kiedy to z dworu królewskiego na ratusz staromiejski przyszło wezwanie, aby w „lapidei" szlachetnego imć pana Iacobusa de Castelanis Gianotti'ego co dworzaninem IKM Zygmunta III był, a równocześnie godność burmistrza Starej Warszawy piastował, przygotować godne pomieszczenie dla przybywającego do stolicy Polski posła extraordynaryjnego JKM króla angielczyków.

Poseł ten — dostojny Imć Dickenson w drażliwej misji i delikatnej materii od króla Jakóba I do króla Zygmunta III — jak chodziły słuchy — przybywał. Przypłynął do Gdańska w zbrojnej asyście z liczną świtą i przez umyślne poczty posłuchania u króla polskiego się domagał. Gdańszczanom, z którymi się dogadał, i których na swoją stronę chciał przyciągnąć, tajemnicę swej misji zwierzając, w sekrecie zapowiadał, iż dla urażonego majestatu swego „miłościwego" monarchy zadośćuczynienia ma się domagać i całej potencji morskiej i lądowej swego kraju nie poskąpi, aby despekt, panu jego wyrządzony, przykładnie ukarać.

„Angielczykowie wojną Polszcze zagrozili" — takie echo, o mury Gdańska się obijające w one dni, do murów Starego Miasta Warszawy pokątnie dobiegło.

„Casus belli" miało stanowić „zuchwałe" dzieło prałata sandomierskiego, ks. Kacpra Cichockiego, po łacinie napisane p. t. „Alloquia Ossiencensia", w Krakowie w roku 1615 wydane, a opatowi pokrzywnickiemu Hieronimowi Ossolińskiemu dedykowane.

Dzieło to — wyjaśniano — stało się powodem zatargu między dworem angielskim a polskim „dla ubliżeń w nich zawartych", jakoże czarno na białym w dziele tym stało, iż „ród Stuartów w Angliej panujący odstępstwem od wiary św. się splamił".

„Ta zniewaga krwi wymaga" — orzekł syn Henryka i Marii Stuart, co w Szkocji pod mianem Jakóba VI, a w Anglii, jako Jakób I panował. Domagał się on, aby Cichockiego, jako autora, i Ossolińskiego, jako tego, który na druk dzieła inkryminowanego łożył, na „bezeceństwo", tj. na utratę czci i praw skazać i gardłem pokarać, a dzieło same, jako plugawe i oszczercze, na stosie publicznie spalić.

W Krakowie i w Warszawie na wieść tę zawrzało. Wykupione z tłoczni i z oficyn księgarskich dzieło przechodziło z rąk do rąk, ku czemu niemało przyczyniali się Szkotowie, z kramami swymi przenośnymi krążący do Polsce, jednając autorowi i wydawcy uznanie, a na króla „angielczyków" pomstowanie, iż przeciw źrenicy „wolności" powstają, zamach na wolność słowa czynią i groźby ślą ku Polszcze zza morza.

Toteż głuchy pomruk szedł po tłumach, co przy wjeździe posła extraordynaryjnego ku Bramie Nowomiejskiej w Warszawie wylegly.

Imć poseł John Dickenson chyłkiem niejako do gospody dla posłów cudzoziemskich pośpieszył i corychlej na zamek królewski udać się po stanowił, aby posłuchanie u króla polskiego uzyskać zgodnie z jego dostojeństwem osobistym i intencją, godną jego miłościwego monarchy.

Na Zamku Królewskim, gdy ze świtą swoją się zjawił, przyjęto go etykietalnie — z flegmą angielską — jako że słyszano, iż angielczykowie rozlewności serca nie lubią i każde słowo, niby kupczykowie ważą, interes we wszystkim upatrując i zobowiązań słownych przestrzegając.

Przyjął król jegomość, dworem otoczony, zamorskiego wysłańca, łaskawie jego i świtę jego dobrotliwie witając.

Wręczywszy monarsze polskiemu króla swego epistołę uwierzytelniającą, poseł wystąpił z długim spiczem, w którym niby żeglarz wytrawny rafy zręcznie omijając, na głębokie wody filozofii a teologii się wypuścił, elokwencją swą raz po raz sądząc, jakie wrażenie czynią uczone jego wywody — to głos podnosił, to ściszał, niby po falach morskich skacząc, i wreszcie do brzegu dobiwszy, niby salwami dział z paszcz okrętowych, grzmiał żądaniami:

winnego obrazy majestatu króla jego miłościwego za śmiertelną zniewagę śmiercią pokarać,

sprawcę rozpowszechniania ubliżeń, który na druk ich łożył, przykładnie do lochu wtrącić,

dzieło ich — plugawe, oszczercze, bluźniercze, publicznie ręką kata ogniem zniszczyć na stosie, aby wichrami z padołu ziemskiego uniesione w głębokościach mórz, dzielących ląd Rzeczypospolitej od wysp Zjednoczonego Królestwa i jego dziedzin zamorskich zatopić na wieczną pamięć o zbrodni i wieczyste przebłaganie o jej zapomnieniu...

Nic przystawało majestatowi królewskiemu na zamku polskim w dysputę religijnym zdanie wytrawne, na znajomości praw boskich i ludzkich oparte mający, uczonych mecenas — wśród mędrców sam mędrzec znamienity, orator niedościgniony, wymową porywający, a w argumentach niepokonany, wyłożył kanclerz polski w pełnej zwady a polotu wypowiedzi racje Rzeczypospolitej w tym sporze, o pacta conventa oparte, wolność słowa obywatelów w Polszcze warujące, w prawach boskich a w sumieniu ludzkim wolnościom wszelakim zakreślające granice.

Tym niemniej postanowiono poddać rozwadze postulaty jego mości króla Anglii wspaniałomyślnemu jego bratu, królowi polskiemu, przez posła Dickensona wyłożone.

Po odejściu z komnat królewskich posła cudzoziemskiego przystąpiła przyboczna rada królewska do deliberacji.



Rys. M. Nesterowicz

Ledwie przez ciżbę przecisnąć się mogła garstka „angielczyków"

skusję z posłem cudzoziemskim się wdawać, wyjaśnień udzielać, polemiką zarzuty odpierać... Zlecił przeto Król Jego Mość Zygmunt III swemu kanclerzowi wielkiemu koronnemu, Szczęsnemu Kryckiemu swoją i Polski rację stanu w tej materii drażliwej wyłożyć.

Szczęsny Krycki — mąż to był znamienity — wielkiej cnoty, nauki i wymowy. W czasie burzliwego sejmu w r. 1603, jako marszałek izby poselskiej, umiał pogodzić swobody Rzeczypospolitej z prerogatywami i przywilejami tronu. Do służby dyplomatycznej się zaprawił, gdy dla sprowadzenia do Polski królowej Konstancji za granicę jeździł. Biegły w językach cudzoziemskich, w wymowie łacińskiej i greckiej szczególnie celujący, Demostenesen Polski i zaszczytem Mazowsza zasłużenie a sprawiedliwie był zwany. — Praw Rzeczypospolitej erudyta, arkanów dyplomacji, jak nikt, świadom, w rozpętanym na świecie spo-

W wyczerpującym dyskursie przypomniano, iż:

wielebny ks. Kacper Cichocki, autor dzieła: „Alloquia Ossiencensia" w Akademii krakowskiej uczony, zasłynął jako wychowawca młodych książąt Ostrogskich — Janusza, Konstantego i Aleksandra, a zostawszy dla swej nauki i pobożności kapłanem przy dworze prymasa Uchańskiego, kanclerzem jego kurii pozostawał. Nie bez współczucia przejęto u dworu do wiadomości, iż ciężką niemocą złożony, wiekiem obarczony u progu śmierci stoi i przed boskim sądem za wszystko odpowie...

Ważono dalej, iż drugi oskarżony, opat pokrzywnicki, Hieronim Ossoliński, sam jest uczonym i przyjacielem uczonych, że Kadłubkowe dzieło Polsce drukiem udostępnił, że jest „panem polskim w obywatelstwie powszechny szacunek mającym tak, że od wszystkich na sędziego polubownego w sporach wszelakich bywa używany i najzawziętsze spory godzi...".

Czyżby się godziło mężów takich w Polsce przed sąd pozywać i w imieniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej na obce wezwanie karać.

Zygmunt III zgodził się ze zdaniem przez panów polskich wyłożonym, że trudno w polską godność słowa godzić i za nią uczonych w piśmie przed instygatora koronnego stawiać, a „panowie rada" wzamian zgodzili się z opinią króla, iż w jakowejś formie panu bratu angielczyków zadośćuczynienie dać trzeba i że trochę swędu ze spalonego na drwach sosnowych dzieła Cichockiego nikomu nie zaszkodzi, a może atmosferę zagęszczoną między Rzecząpospolitą a daleką Anglią oczyści, niby woń kadzidlana.

„Dictum — factum!".

Nielada uciechę miała gawiedź Starego Miasta, a zwłaszcza żakowie szkolni, gdy z zamku królewskiego przez Mansonerię z ulicy Świętojańskiej na Rynek doszła wieść, iż spór anglo - saski miał przejść w ręce kata.

Na egzekucję upatrzony był placyk staromiejski, „Piekiełkiem" zwany, odkąd na nim w roku Pańskim 1526 spalono na stosie dwie „wiedźmy", o otrucie ostatnich książąt mazowieckich obwinione, gdy na łańcuchach uwiązane, gorącym żelazem przypalane piec się musiały na ogniu od rozpalonego stosa, biegając wkoło niego przez cztery godziny.

Placyk, pomiędzy ulicami Piekarską, a Podwalem położony, przez który dostęp był do uliczek Rycerskiej i Ślepej, a na który również widok był z Rynku Starego Miasta, wypełnił się ludem warszawskim po brzegi, gdy nań chrustu smolnego na stos nałożono i gdy kat na nim się pojawił, a straż marszałkowska i pachołowie miejscy z trudem porządek mogli utrzymać, zwłaszcza, że za marszałkiem wielkim koronnym i instygatorem Rzeczypospolitej wielkie tłumy z pocztami ich nadciągać zaczęły od Zamku i Rynku, od Nowego Miasta i Podwala.

Ledwie przed ciżbę wielką przecisnąć się mogła garstka „angielczyków", choć im usłużni „szotowie" (szkoci w Warszawie handlujący) dostęp ułatwiali, za tłumaczy występując.

Drwin a śmiechów — chichów nasłuchać się musieli do syta!

Z ostrożnością wielką dostarczono na „Piekiełko" foliał „Alloquia Ossiencensia", przez Cichockiego spłodzony, Ossolińskiemu przypisany, a w Krakowie przed rokiem wydany.

Padły w ciżbę słowa surowego wyroku, buchnął płomień na stosie, a księga, w ogień rzucona, rozwierała to zwierała swe kartki, niby przed ciekawymi oczyma, czerwieniała to czerniała i iskry rozsypując wokoło, drobnymi cząsteczkami wznosiła się w powietrze i rozsypywała.

Spalone na interwencję „angielczyków" dzieło przetrwało jednak w ukrytych egzemplarzach jego twórcę, który — jak dworowi angielskiemu doniesiono „w podeszłym wieku będący zgonem swym uprzedził zasłużoną karę".

Drugi „zbrodzień", co „protegując oną satyrę, pismo obliżające majestatowi króla Anglii wydał własnym sumptem, potomnym swym snadź atencję do ksiąg mądrych przekazał, i — być może — owemu ogniowi na „Piekiełku" warszawskim zawdzięcza Polska z pogromów wojennych ocaloną wspaniałą ksiąg zbiornicę, która dziś promiennym zniczem wiedzy promienieje we Wrocławiu.

A wśród ruin Starego Miasta pokutuje postrzępiona, jak stare księgi, opowieść o Angielczykach, co wojnę Polszcze za wolność słowa wypowiadali...

Kazimierz Pollack

CZY SPADOCHRONIARZE BALI SIĘ?..

TOWARZYSTWO siedziało przy kawie i paląc papierosy komentowało własne przeżycia w czasie ubiegłej wojny.

— Ale właściwie to pan jeszcze nic nie opowiadał — zwrócił się naraz ktoś do mnie.

— Tak, tak — podchwyciła pani Hanka, elegancka blondynka o bajecznie długich nogach. Koniecznie musi pan opowiedzieć o tym, jak pan skakał.

— Bardzo o to proszę... — temu ostatniemu towarzyszyło czarujące spojrzenie.

Siedziałem cicho nic nie mówiąc i patrzyłem spod oka na moje bóstwo.

Basia zajęta była jedzeniem amerykańskich solonych orzeszków i zdawała się nie zwracać na nic żadnej uwagi. Kiedy jednak ociągałem się i dawałem prosić zbyt długo — nagle wybuchnęła gwałtownie:

— No zacznijże już wreszcie! On proszę państwa tylko tutaj takiego skromnego udaje, w domu to mu się od rana do nocy usta nie zamykają. A teraz to aż go skręca w środku, żeby mógł się swym bohaterstwem pochwalić...

— Proszę cię przestań, — zaoponowałem nieśmiało — wiesz przecież... — Ale reszty zdania nie pozwolono mi dokończyć.

Pani Hanka spoglądając na mnie ironicznie powiedziała:

— No to niech pan przynajmniej powie czy bardzo się pan bał w czasie skoku?

— Czy bałem się? — duma moja była dotknięta do żywego. — Nie, nie bałem się ani trochę. Wiedziałem co nastąpi i byłem na to przygotowany. Boję się tylko złych kobiet — dodałem wyzywająco...

Zresztą to nic takiego nadzwyczajnego — ciągnąłem dalej. — W pewnym momencie zsunąłem się w otwór znajdujący się w podłodze samolotu a po chwili byłem już na ziemi.

— Bardzo to prosto wygląda — odezwał się ktoś z towarzystwa. — Czy każdy mógłby tak wsiąść do samolotu, a potem skakać?

— No, niebardzo — uśmiechnąłem się z wyższością — trzeba było przejść specjalne przeszkolenie.

— No, właśnie, właśnie — krzyknęła pani Hanka — niech pan opowie jak to się zaczęło, od początku...

— A więc jak państwo wiedzą w okresie okupacji przybyło do kraju kilkuset skoczków tzw. „ptaszków", którzy byli szkoleni do specjalnych zadań i mieli zasilić szeregi walczących w kraju. Większość z nich już nie żyje. Zginęli w obozach koncentracyjnych, bądź rozstrzelani lub zamęczeni przez Gestapo.

Była to praca nadzwyczaj odpowiedzialna połączona z szeregiem niebezpieczeństw.

Kandydat na skoczka przechodził najpierw bardzo szczegółowe badanie lekarskie, przy czym główną uwagę zwracano tu na pracę serca oraz wytrzymałość płuc. Jeżeli badania wypadły dodatnio — kandydata skierowywano na kurs wstępny trwający od 4 do 8 tygodni, gdzie delikwent był poddawany najrozmaitszym próbom, ćwiczeniom mającym za zadanie obznajmienie go z teorią skoku oraz doprowadzenie do odpowiedniej kondycji fizycznej.

Tak się złożyło, że przeszedłem szczęśliwie wszystkie badania lekarskie i wyjechałem do ośrodka szkoleniowego w Szkocji nazwanego popularnie przez nas „małpim gajem"...

— Otóż pierwszy tydzień upłynął mi na robieniu najprzeróżniejszych łamańców, mających na celu „rozluźnienie mięśni" — jak mówił nasz instruktor. Były to bardzo forsowne ćwiczenia gimnastyczne, skoki, biegi itp. W następnym tygodniu zaczęły się ćwiczenia wstępne, przygotowawcze do właściwej techniki skoku. Otóż muszę państwa objaśnić, że skoczek przy wyskoku i w czasie lotu nie może być bierny i często musi wykonywać szereg czynności. W tym celu uczyliśmy się przede wszystkim tzw. „postawy skoczka".

Spadochroniarz siedzący nad otworem ma silnie złączone i lekko podkurczone nogi, a ręce ściśle przyłożone do bioder. W tej pozycji, zsuwa się na dany znak do otworu znajdującego się w kadłubie samolotu.

Zachowanie tej pozycji jest niezmiernie ważne, ponieważ odchylona w bok ręka lub noga może zawadzić o linki spadochronu, a to z kolei może spowodować poplątanie i nierozwinięcie się czaszy. Mieliśmy model kadłuba samolotu z otworem naturalnej wielkości, z którego po kolei wszyscy skakali. Otwór umieszczony był około 2 metrów nad ziemią. Przyznaję się szczerze, że po kilkudziesięciu takich skokach w czasie dnia pod wieczór rozglądałem się tylko, na czym by można usiąść i nie miałem ochoty na żadne spacery.

Ale to była jedna tylko z wielu przemyślnych tortur przez jakie musieliśmy przechodzić. Cały park był dosłownie zastawiony najrozmaitszymi przyrządami, które na pozór wyglądały bardzo niewinnie. Taka np. huśtawka z daleka wyglądała bardzo przyjemnie. Różniła się od zwykłej huśtawki tylko jedną drobną ale bardzo zasadniczą rzeczą. Otóż liny dochodziły do kółek, ale tam się nie kończyły lecz biegły przez nie do dużego bębna z dźwignią, obok której stał instruktor. Wsiadało się do szelek będących imitacją szelek spadochronowych i zabawa się zaczynała... Początkowo było bardzo miło, koledzy rozhuśtywali „pasażera" tym wyżej, im bardziej go lubili i ten się huśtał. Instruktor stał spokojnie i z przyjemnym uśmiechem przyglądał się igraszkom.

W pewnym momencie błyskawicznym kopnięciem przerzucał dźwignię. Liny zwalniały i uczeń „lądował" z takiej wysokości i w takiej pozycji w jakiej go ten moment zaskoczył.

To wyrabiało zmysł orientacji i „podświadome zmechanizowanie ruchów". Samo zetknięcie się z ziemią również miało specjalny rytuał. Aby równomiernie rozłożyć siłę uderzenia na całe ciało — należało natychmiast zrobić tzw. „przewrotkę".

Ćwiczyliśmy to osobno. Wyglądało to przekomicznie. Proszę sobie wyobrazić grupę młodych mężczyzn robiących koziołki na trawie i to tak raz za razem przez godzinę. Obraz przypominał pacjentów wypuszczonych z Tworek i tarzających się po ziemi.

Na takich i wielu innych ćwiczeniach upływały tygodnie.

Pod koniec turnusa przypominaliśmy dobrze zgrany cyrk objazdowy i produkowaliśmy się, gdzie się dało.

Sądzę, że właścicielka baru „Red Liou" oraz goście, którzy bywali w tym czasie u „White Horse'a" mogliby coś niecoś na ten temat powiedzieć.

Pomijam już fakt, że takie ćwiczenia jak dżu-dżitsu, walkę na bagnety i zapasy traktowaliśmy jako miłą rozrywkę.

W ostatnim tygodniu przychodziło clou tego wszystkiego — bieg torem dookoła parku. Tor był długi, mniej więcej na półtora kilometra i krył po drodze szereg niespodzianek. Razem było tego około 30 przeszkód. A więc skórzane kobyły, bumy, trapezy, liny, na które należało się wdrapać, ciasne beczki, przez które trzeba było się przeciskać, rowy do przeskakiwania i ściany 3 i pół metra wysokości do forsowania.

Była również i rzeka...

Ominąć ją było niesposób a przejście było tylko jedno: po cienkim drążku.

Miało to wyrabiać w nas poczucie równowagi. Przyznaję szczerze, że najczęściej równowagę znajdowałem w wodzie, która w listopadzie była już wystarczająco zimna, aby po takiej kąpieli szczękać zębami.

Po zakończeniu kursu odbywały się w „małpim gaju" skoki z wieży. Takiej sobie zwykłej wieży jaka była przed wojną w Warszawie na Stadionie Legii — tylko trochę wyższej. Skoków tych odbył każdy z nas około trzydziestu. Emocji było dużo ale był to dopiero okres przejściowy. Warunki zresztą skoku były dużo lżejsze niż skoku z samolotu lub balonu, ponieważ szybkość opadania była mniejsza. Skoczek zrównoważony był ciężarkiem — stąd lądowanie było łagodne i bez wstrząsów.

Pierwszy etap był skończony. Zakwalifikowano nas do prawdziwych skoków i pojechaliśmy na lotnisko „Somewhere in England" — „gdziekolwiek w Anglii" (skrót używany do ukrycia właściwego miejsca postoju w czasie wojny). Tam zaznajomiono nas przede wszystkim ze spadochronem. Każdy z nas musiał znać dokładnie wszystkie części składowe, sam musiał umieć składać, dopasować szelki itp.

Są to wszystko szczegóły może drobne, ale od nich zależy często życie ludzkie.

Nadszedł wreszcie moment, kiedy ubrani w spadochrony, zaczęliśmy wchodzić do samolotu. Prawdopodobnie był to samolot typu „Halifax".

Siedzieliśmy w milczeniu, po pięciu z każdej strony otworu

Lecieliśmy około 3 minut kiedy instruktor kazał otworzyć klapę. Do środka wtargnął wiew świeżego, ostrego powietrza. Przechyliłem się nieco i odważyłem popatrzyć na ziemię. Dolatywaliśmy do lądowiska. W dali błyszczał maleńki biały kwadracik, który na ziemi był 10-metrową białą płachtą oznaczającą środek lądowiska. Koło tego punktu kręciło się kilka czarnych kropek. — Ach, domyśliłem się z wrodzoną sobie inteligencją — to są zapewne ludzie. No nie... pomyślałem — to przestaje być zupełnie zabawne, wcale nie mam zamiaru skakać. Wtem nad głowami zapaliło się zielone światło a instruktor ryknął

— Action station! (baczność, przygotuj się!).

Po chwili machnął ręką i ryknął:

— Go! (idź!).

Pierwszy skoczek zsunął się bez chwili wahania i poszedł w dół. Drugi, trzeci i ja jako czwarty...

W ułamkach sekundy poprzedzających skok, nad instynktem samozachowawczym wzięła górę wola człowieka i narzuciła mu rozkaz.

Ogarnął mnie szum. Ziemia i niebo zawirowały w jakimś szalonym tańcu. Samolotu nie widziałem zupełnie. Zapewne uciekł z szybkością 140 km/godz., z jaką nas wyrzucał ze swego wnętrza.

Kilka sekund leciałem w dół koziołkując zawzięcie, gdy naraz poczułem bardzo silne szarpnięcie — jak gdyby ktoś nagle zatrzymał mnie w powietrzu — wnętrzności rzuciły się do gardła, serce zamarło na chwilę w jakimś dziwnym skurczu. Nademną z głośnym szelestem zakwitła czasza spadochronu.

Rozpoczął się właściwy lot, któremu towarzyszył ruch wahadłowy a poza tym, ponieważ linki były trzykrotnie skręcone — zacząłem się kręcić dokoła swojej osi.

Tu przydała się cała wiedza nabyta w „małpim gaju".

Przełożyłem ręce na przemian poprzez szelki i silnie szarpnąłem. Po chwili linki były już odkręcone, a ja zacząłem z kolei gasić czaszę podciągając linki naprzemian to z przodu, to z tyłu, „aby ugasić nadmierne wahania".

Wszystko to trwało kilka sekund zaledwie.

Przez chwilę rozkoszowałem się lotem — jest to jedyne w swoim rodzaju wrażenie i trudno opowiedzieć to słowami.

W powietrzu panuje zupełna cisza, człowiek płynie zawieszony w przestworzu, mogąc ogarnąć dalekie horyzonty...

Z marzeń mych wyrwała mnie nagle ziemia rodzicielka, która zaczęła się przybliżać z gwałtowną szybkością.

Przypomniałem sobie od razu wszystkie wskazówki instruktora — silnie zwarłem i podkurczyłem nogi a rękami uchwyciłem szelki jak mogłem najwyżej. Ostatni podmuch wiatru pchnął mnie do ziemi przodem i trochę z boku.

W momencie, kiedy instynktownie raczej wyczułem, że muszę już dotknąć ziemi — z całej siły podciągnąłem się na szelkach, wykorzystując opór czaszy w powietrzu, aby złagodzić moment uderzenia i błyskawicznie zrobiłem „przewrotkę".

Leżałem na ziemi, a wiatr dmąc w czaszę spadochronową wlókł mnie po niej jeszcze kilka metrów. Uderzyłem silnie na płask dłonią w zamek zwalniający szelki i wyciągnąłem ręce ponad głowę pozwalając wiatrowi ściągnąć z siebie szelki. Czasza nie mając oporu po kilku metrach łagodnie opadła.

Zewsząd biegli koledzy. Obstąpiony wokół musiałem dzielić się wrażeniami. Byłem zlekka oszołomiony i kręciło mi się trochę w głowie. Tęgi łyk whisky przywrócił mi przytomność umysłu.

— Czy dużo jest wypadków śmiertelnych? — zapytał jeden z panów.

— Przeciętnie dwa na tysiąc skoków. Dzieje się to z winy spadochronu, jeżeli talk zwilgotnieje i sklei płótno spadochronu, lub z winy skoczka. Sam widziałem pewnego Anglika, który po opuszczeniu samolotu zawadził odstawioną na bok nogą o linkę — co spowodowało splątanie dalszych linek i nierozwinięcie się czaszy. Trwało to kilka sekund — szedł jak kula do ziemi — na której po chwili zotała tylko bezkształtna masa mięsa.

— Okropne — wzdrygnęła się jedna z pań. — I dużo razy skakał pan jeszcze?

(Dokończenie obok)



Przed odlotem bojowym



W ekwipunku ćwiczebnym

— Ogółem mieliśmy około sześciu lub siedmiu skoków ćwiczebnych z balonu i samolotu. Mój skok w kraju był ósmym z kolei.

— Niech pan jeszcze opowie o nim — odezwało się kilka osób

— Przecież ten skok musiał być dla pana najgorszy — powiedziała pani Hanka.

— Mój skok w kraju — zacząłem znowu — w tej chwili zaliczam do najmilszych wspomnień w życiu. Po skończonym szkoleniu zostałem przerzucony samolotem ponad Francją do Algieru a stamtąd na południe Włoch. Leciałem do Polski trzykrotnie.

Po raz pierwszy zaskoczyła nas burza nad Bałkanami i pilot musiał zawrócić. Następnym razem już w Polsce, nad miejscem, gdzie mieliśmy skakać wisiały tak nisko chmury, że nie mogliśmy znaleźć placówki odbiorczej.

Udało się dopiero za trzecim razem.

Do jednej z najbardziej przykrych rzeczy zaliczam zimno jakie panowało w powietrzu — aczkolwiek ubrani byliśmy bardzo ciepło.

Proszę sobie wyobrazić południe Włoch i rozpalony żar lejący się z nieba. Start był około godz. 7 wieczorem. Każdy z nas był objuczony jak wielbłąd. Mogliśmy ze sobą zabrać z ubrania tylko to, co włożyliśmy na siebie. Miałem więc na sobie kolejno: ciepłą jegerowską bieliznę, na to bieliznę jedwabną, pulower, ubranie cywilne, szalik, ciepłą jesionkę, następnie kombinezon spadochroniarski, a w końcu szelki i spadochron. Trzeba jeszcze dodać, że każdy z nas miał na sobie pasy z pieniędzmi dla organizacji, pozatym dwa rewolwery, kilka granatów, nóż, latarkę, łopatkę składaną itp. „nieodzowne przybory". Efektem tego było, że do Liberatora, którym leciałem musiano nas dosłownie wnosić, bo trudno się było poruszać.

Nadszedł wreszcie moment kiedy znalazłem się w kraju nad miejscem, gdzie miałem skakać. Noc panowała dookoła, księżyc zadowolony uśmiechał się szeroko, a ja przypominałem sobie wszystkie nieszczęśliwe wypadki moich kolegów, którzy skakali w Polsce przede mną. A więc i o tym, co wyskoczył na peron stacji podmiejskiej, ponieważ pilot światła semaforów uznał za sygnały placówki odbiorczej i o tym co wylądował na dachu chaty pewnego wieśniaka i musiano go po drabinie ściągać na dół i o wielu innych, którzy zawiśli na drzewach lub kąpali się w stawie.

— Los okazał się dla mnie łaskawszy. Kiedy pokazało się zielone światło, skoczyłem w dół bez zastanowienia.

Lot miałem doskonały. Ziemia, moja polska ziemia przygarnęła mnie wracającego po czterech latach miękko i litościwie. Nie zdążyłem chwycić za broń, kiedy już trzymano mnie w ramionach i całowano z dubeltówki, serdecznie, z obu stron — po polsku.

Nigdy nie zapomnę tego momentu, kiedy zobaczyłem twarze chłopców z lasu. Zawadiackie, buńczuczne roześmiane...

Po chwili siedząc na chłopskiej furce jechałem przez nasz mazowiecki „piaszecek" na kwaterę. A kiedy po raz pierwszy zobaczyłem brzozy, nasze zwykłe, białe polskie brzozy coś chwyciło mnie za gardło i przez długą chwilę nie chciało puścić...

□

Towarzystwo żegnając się rozchodziło zwolna.

Kiedy znalazłem się z Basią na ulicy, poczułem, że jej drobna rączka wsunęła mi się ufnie pod ramię. W pewnej chwili patrząc mi w oczy zapytała:

— Ale, powiedz, nie bałeś się, co? No powiedz prawdę — prosiła przymilnie — powiedz ją tylko mnie...

Zadrżałem pod wpływem tego spojrzenia, które biegło na wskroś mnie. Jednak oczy nie ustępowały i nakazały powiedzieć prawdę.

— Otóż więc bałem się jak jasna cholera! — wybuchnąłem — bałem się za każdym razem, a jak ci który spadochroniarz powie, że się nie bał, to zełże jak pies!...

STEFAN BAŁUK

NOWE KSIĄŻKI

Inż. Henryk Sacharewicz — Zbiór schematów elektrotechnicznych. — Podręcznik ten obejmuje zbiór schematów przedstawiających instalacje oświetlenia, siły, prądnic, silników, dzwonkowe i alarmowe jak również schematy urządzeń pomocniczych, słaboprądowych, układów telefonicznych, reklam neonowych, spawań elektrycznych oraz schematy radiowe. Praca ta powinna zainteresować przede wszystkim uczniów i wykładowców szkół technicznych oraz praktykujących radiotechników. Schematy zostały wykonane dokładnie a 27 tabel pomocniczych ułatwia orientację. Wydawnictwo: Wojskowy Instytut Naukowo Wydawniczy Łódź, str. 174, tabel 27, rys. 192.

Bajka Polska wieku Oświecenia w wyborze opracował Stanisław Adamczewski.

Zbiór obejmuje bajki Krasickiego, Kniaźnina, Niemcewicza i Morawskiego. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", str. 103.

Michał Bałucki — Grube ryby. Komedia w 3-ch aktach. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka". Str. 10

Stendhal — Czerwone i czarne 2 tomy. Powieść napisana przed 1830 r. w której autor opiesuje dwie Francje: Napoleońską i Burbońską. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka". Str. 286 + 282.

Maria Konopnicka — Poezje. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" Str. 41.

A. Starewicz — 30 lat budownictwa socjalistycznego w ZSRR. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" Str. 127.

Bolesław Prus — Anielka. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" Str. 194.

Wojciech Bylina — Konferencja Moskiewska. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka". Str. 23.

Ignacy Krasicki — Utwory wierszowane w wyborze. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka". Str. 148.

Władysław Gomułka (Wiesław). — W walce o demokrację ludową, 2 tomy. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka". Str. 332 + 269.

POECI I PISARZE W ANEGDOCIE

Shaw



Bernard Shaw, sławny pisarz angielski został zaproszony do znajomej pani na koncert. Gdy przybył zaczął się popisywać na skrzypcach młody wychowanek pani domu.

Rzempolił mizernie, wreszcie gdy skończył, gospodyni pyta poetę:

— Jak się panu podobał ten skrzypek?

— On mi przypomina Paderewskiego — rzecze Shaw.

— Przecież Paderewski nie jest skrzypkiem i nie umie grać na skrzypcach.

— Ten młodzian też nie umie — odrzekł poeta.

KĄCIK JĘZYKOWY

OKOŁO...

Wyrazem „około" posługujemy się na określenie miejsca: około domu; czasu: około roku setnego; liczby: około dwudziestu mężczyzn.

Sądząc z przytoczonych tu przykładów, można by powiedzieć, że „około" rządzi zawsze drugim przypadkiem. Tak nie jest. „Około" rządzi drugim przypadkiem tylko wtedy, gdy jest przyimkiem: około czasu. Jako przysłówek, oznaczający „mniej więcej", lub „blisko" — „około" nie rządzi przypadkiem i nie wpływa na jego postać.

I tak: gdy użyjemy wyrazu „około" na określenie przybliżonej ilości czegoś, to, o ile „coś" jest osobą rodzaju męskiego, stać będzie w drugim przypadku, a jeśli jest osobą rodzaju żeńskiego lub rzeczą w przypadku pierwszym. Przykład: Z pociągu wysiadło około (blisko) trzydziestu lekarzy i (blisko) piętnaście sanitariuszek, przy których znajdowało się około dwadzieścia pak.

Czemuż o tym piszę? Przecież to samo przez się zrozumiałe. Tak, ale słuchając radia lub czytając gazety, spotykamy się zawsze z takimi powiedzeniami: Do portu w Gdyni wpłynęło około piętnastu okrętów; z wagonu wysiadło około trzydziestu pań itd. Mechaniczne łączenie wyrazu „około" zawsze z drugim przypadkiem jest dowodem braku subtelności językowej.

Również subtelności trzeba przy używaniu słowa „około" przy określaniu czasu. Mówi się: około piętnastego sierpnia; około setnego roku; ale błędnie brzmi: budowa miasta trwała około stu lat. Powinno być: trwała około sto lat, bo czas czy lata to także rzeczowniki nieosobowe. Powiemy też: „kruk żyje około sto lat", a nie: „stu lat". itd.

Chociaż zgodnie z duchem języka polskiego musimy powiedzieć: „dąb na swoje wyrośnięcie potrzebuje około stu lat", nie przeczy to bynajmniej zasadzie, gdyż użycie przypadku drugiego nie nastąpiło tu ze względu na wyraz „około", lecz z powodu słowa „potrzebuje", które właśnie rządzi drugim przypadkiem. Błędnie więc brzmi: „potrzebuję około stu złotych". Powinno być: „potrzebuję około stu złotych". Dobrze natomiast będzie: „mam około sto złotych".

Nie przeczy też bronionej przez nas zasadzie zdanie: „Spośród około ośmiuset kobiet około trzysta ukryło się". Tu bowiem drugi przypadek nastąpił z powodu wyrazu „spośród" czy też „wśród", a nie z powodu „około".

I jeszcze jedno. O ile w grę wchodzą tysiące, miliony itd., to wówczas wobec wyrazu „około" mężczyźni są na równi traktowani z kobieetami i rzeczownikami nieosobowymi. Nie powie się zatem: „W tym mieście jest około „dwustu tysięcy mężczyzn", lecz: „około (blisko) dwieście tysięcy mężczyzn, tak jak: „w tym kraju znajduje się około (blisko) trzysta tysięcy kobiet". lub: „w tamtym lesie rośnie około pięćset tysięcy drzew".

Słowem, zaprzestańmy gadać, że „z pociągu wysiadło około piętnastu pań, czy też, że „do portu w Gdyni zawinęło około stu okrętów".

Ks. Anatol Lorens
Tyniec k-Wrocławia

KRONIKA KULTURALNA

STEFANA LICHAŃSKIEGO artykuł w Nr 12/20 „Warszawy" pt. „Granice humanizmu laickiego" jest bardzo interesujący. Autor, omawiając i interpretując „Medaliony" Nałkowskiej, poszerza niejako i uzupełnia czysto ziemski i doczesny światopogląd znakomitej pisarki elementami ponadziemskimi, wiekuistymi. Klimat czy też atmosfera „Medalionów", których tematyką są zbrodnie niemieckie, wydaje się Lichańskiemu zbyt jurydyczny, jeśli się tak można wyrazić, zbyt ciasno prawniczy: ukaranie tych zbrodni, wydanie wyroków na zbrodniarzy, wypełnienie aktu sprawiedliwości — czego się domaga Nałkowska, to jeszcze nie wszystko zdaniem Lichańskiego. Należy tym sprawom dać jakieś wymiary irracjonalne, oświetlić je ze stanowiska jakiejś niewzruszonej, ponadczasowej i ponadprzestrzennej moralności — mianowicie chrześcijańskiej. Uwagi Lichańskiego są, jak rzekliśmy, interesujące. Ale nie podoba nam się jego styl, jego język. Czy rzeczywiście nie można mówić o rzeczach najgłębszych i najwyższych w sposób prosty, jasny i przystępny? Moralność chrześcijańska, która stanowi dla Lichańskiego punkt wyjścia, cała jest zamknięta w niewielkiej książce, zwanej Ewangelią. Czytajmy ją a przekonamy się, że językiem codziennym, nawet językiem pospólstwa, można mówić o najzawilszych zagadnieniach etyki. Tymczasem u Lichańskiego napotykamy tego rodzaju frazesy: „Jest u Nałkowskiej metafizyka antropocentrycznego humanizmu, bazującego na biologistycznym materializmie" — albo: „Ta doskonała w swej precyzji wykonania książka kryje w sobie tragicznie bezsilny heroizm stoicyzmu, konstatującego fakty... pozostające w kręgu wojennego inferna..." Doprawdy, takie zwroty niewiele mówią i utrudniają bardzo zrozumienie artykułu Lichańskiego. A każdy pisarz powinien jednak starać się pisać tak, by go czytali nawet maluczcy.

„DIE TOTEN reiten schnell" — umarli szybko jadą. Prawdę mówi to mądre przysłowie niemieckie: o umarłych szybko się zapomina. Powtarzamy je ze smutkiem, czytając artykuł Kandyda w ostatnim Nr 46/115 „Kuźnicy" pt. „Święto umarłych". Artykuł jest żałobną litanią nazwisk tylu pisarzów naszych, którzy zginęli i czy zmarli czasu wojny. Czechowicz, St. Ign. Witkiewicz, Boy-Żeleński, Blüth, Berent, Zegadłowicz, [illegible]ski, Kaden - Bandrowski, Korczak, Miłaszewski, Hollender, Bruno Schulz — można ich wyliczać nieskończenie. Kandyd zamyka swe Zaduszki słowami: „Gorzko stwierdzić, lecz ci, którzy do zachowania pamięci pisarzów przyczynić by się mogli — wydawcy... nie zrobili dotąd nic, by uczcić pamięć pisarzów, którzy stracili życie w latach wojny... Myślmy o zmarłych w dniu ich święta, ale myślmy realnie. Niech nasza pamięć przyoblека się w kształt widoczny".

MALUTKI Łowicz wydaje książki: oto miła wiadomość. I to książki nie byle jakie i nie byle jak wydane. Nakładem i drukiem „Księgarni Łowickiej" wyszła rozprawa historyczna dra Jana Wegnera, kustosza muzeum niebcrowskiego, pt. „Łowicz w latach Potopu". Książka to pokaźna, mająca 186 stron bardzo ładnego druku, dobry papier, zaopatrzona w plan miasta z w. XVII, w ilustracje i ryciny, opracowana lege artis, z całym aparatem naukowym, z przypisami odsyłaczami i indeksami. Ale czyta się ją jak romans, jakby ciąg dalszy sienkiewiczowskiego „Potopu" — tak jest przyjemnie napisana. Wskrzesza ona przeszłość Łowicza, jednego z najstarszych miast Mazowsza, mogącego się szczycić bardzo dalekimi tradycjami. Dr Jan Wegner uczynił Łowiczowi książką swoją cenny upominek. Słowo „upominek" może oznaczać i „prezent" i „przypomnienie": przypominając Łowiczowi jego świetną przeszłość, książka powinna zachęcić miasto do tym żywszej pracy nad podniesieniem jego obecnego stanu kulturalnego.

St. Łatka

Uśmiecha się śliczna lala...

Śliczna, celuloidowa lalka urzeka z wystawy oczęta dziewczynek. — Ach, żeby to mieć taką! — wzdycha niemal każde maleńkie serduszko, a jego właścicielka z noskiem rozpłaszczonym na szybie wystawowej chłonie wzrokiem kształt upragnionej zabawki.

Do sklepu lalka przywędrowała z prowadzonej przez „Społem" fabryki „Kosmos" w Częstochowie. Wyrabia się tam nie tylko lalki, ale i szczotki do zębów, mydelniczki, spławiki do wędek rybackich, grzechotki itp. galanterię celuloidową.

„Społem" prowadzi fabrykę już trzeci rok, choć dotąd brak było surowca. Ale trzy maszyny regenerujące ten surowiec, które posiada „Kosmos", pozwoliły na uruchomienie fabryki, nim rozpoczęto w kraju produkcję celuloidu. Skupowano odpady i po przerobieniu ich na płytki celuloidowe produkcja szła normalnie, tak jak gdyby posiadano celuloid.

Regenerowane w ten sposób płytki celuloidowe po pełnym wysuszeniu w temperaturze 60 stopni przecina się na odpowiednie formaty, zależnie jakie części lalki mają z nich powstać. Nóżki, rączki, głowa i tułów lalczyny robi się w osobnych formach mosiężnych, mocno ogrzanych. Zmoczoną wrzątkiem płytkę celuloidową, złożoną na pół, wkłada się do formy, którą się szczelnie zamyka. Przez specjalny otwór wpuszcza się do formy parę, która rozpręża dwie części płytki. Wówczas parę się wyłącza, a włącza zgęszczone powietrze, które utrzymuje to rozprężenie — a jednocześnie studzi się formy strumieniami zimnej wody. Po pięciu minutach można formę otworzyć. Wychodzi z niej gotowa część lalki, którą się jeszcze w suszarni wysusza, aż do zupełnego stwardnienia. Dalej trzeba usunąć wszelkie niedokładności, wklęsłości itp. co w języku fabrycznym nazywa się „szabrowaniem" lalki.

A później gotowe części lalki wędrują do malarni. Tu automatem rozpryskowym lakieruje się je na śliczny cielisty kolor. Jeszcze ręczny „maquillage" twarzy — maluje się lalkom włosy, oczy, usta i nosek — i zespala się gumką poszczególne członki w całość, dzięki czemu lalki mogą poruszać główką, nóżkami i rączkami.

„Społem" zatrudnia w swej fabryce 61 robotników, ale dalece nie nadąża, by sprostać wszystkim zamówieniom. Jest to obecnie jedyna fabryka lalek w Polsce. Dotychczasowy brak surowca nie pozwalał na pełną eksploatację fabryki, to znaczy na uruchomienie wszystkich maszyn. Ostatnio sytuacja w tej dziedzinie się zmieniła. W Pionkach rozpoczęła w bież. miesiącu produkcję celuloidu Będzie więc można już w najbliższym czasie wzmóc znacznie produkcję, zatrudniając 152 robotników.

Tania, estetyczna lalka przestanie być niespełnionym marzeniem wielu dziewczęcych główek. „Społem", gromadzące zapasy, by rzucać na rynek towar po interwencyjnych cenach. produkujące najrozmaitsze rzeczy konsumcyjne i niekonsumcyjne — nie zapomina również i o najmłodszych. Dziecku potrzebna jest zabawka, a więc „Społem" mu tę zabawkę dostarczy.

Fabryka lalek i szczotek „Społem" w Częstochowie

Fabryki zabawek przygotowują na św. Mikołaja wielkie ilości prezentów dla dzieci. (S. A. P.)

Powiatowa Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa w Grójcu

Powiatowa Spółdzielnia Rolniczo - Handlowa w Grójcu (Al. Niepodległości 7, dom własny) jest jakby symbolicznym przedłużeniem Grójeckiego Syndykatu Rolniczego, który powstał w 1932 r. Pod swoją nazwą obecną Spółdzielnia występuje od 1940 r. Na początku 1945 r. magazyny Spółdzielni zostały kompletnie zrabowane, a budynki spalone. Obecnie Spółdzielnia zrzesza 5.500 członków i zatrudnia 93 pracowników. Prowadzi działy: przemysłowo - budowlany, ziemiopłodów i mięsny. Posiada 3 sklepy w Grójcu: galanterii żelaznej i maszyn rolniczych, spożywczo - kolonialny i mięsny. Ponadto Spółdzielnia prowadzi: mechaniczny warsztat masarski, skład materiałów opałowych i jedyne w powiecie zbiorniki materiałów pędnych oraz wytwórnię wód gazowych i rozlewnię piwa. Obroty Spółdzielni w roku gospodarczym 1946-7 dały kwotę 125 milionów zł. Spółdzielnia posiada liczny tabor samochodowy i konny, a dom jej, jedyny w powiecie wyposażony jest w urządzenia wodociągowe i kanalizacyjne. (a)

Z życia Oddziału Powiatowego „Społem" w Toruniu.

Ruch spółdzielczy wśród młodzieży

Oddziała Powiatowy „Społem" w Toruniu ul. Mostowa Nr 21, istnieje od kwietnia 1945 r. zatrudniając w chwili obecnej 132 pracowników. Zaopatruje w towary spółdzielnie z terenu pow. toruńskiego w ogólnej liczbie 31 (w tym 10 — „Samopomocy Chłopskiej"). Prowadzi działy: spożywczo - kolonialny, zbożowo - mączny, węglowy, naczyń kuchennych, meblarski i materiałów budowlanych, oraz — hurtownie: rejonową towarów włókienniczych, wyrobów tytoniowych, soli i drożdży.

O rozmachu pracy Oddziału świadczy fakt, że miesięczny rozładunek i naładunek towarów wynosi ca 300 wagonów. Obroty Oddziału stale wzrastają, a 60% ich, to tzw. „obroty szlachetne" ze spółdzielniami, których współpraca z Oddziałami układa się dla obu stron bardzo pomyślnie. Magazyny Oddziału w liczbie 5-ciu, są prawie wystarczające. Wszystkie są dzierżawione, a dojazd do nich ułatwiają bocznice kolejowe. Dział materiałów opałowych dysponuje panadto 2 składami.

Sieć spółdzielni w powiecie jest niedostateczna, toteż, instruktor organizacyjny ma tu dość duże pole do działania. Rada Oddziałowa jest ruchliwa, żywo interesując się życiem i działalnością miejscowych spółdzielni. Podkreślić należy, że na terenie pow. toruńskiego doskonale rozwijają się spółdzielnie uczniowskie. Miejscowe nauczycielstwo z prawdziwym oddaniem i zrozumieniem idei spółdzielczej współpracuje z młodzieżą szkolną, zarówno przy samej organizacji szkolnych placówek spółdzielczych, jak i — później w czasie dalszej ich działalności, służąc młodocianym spółdzielcom radami i wskazówkami. Spółdzielnie uczniowskie ściśle współpracują z Oddziałem, który otacza je specjalnie troskliwą opieką. Nigdzie może udział młodocianych spółdzielców w tegorocznym „Święcie Spółdzielczości" nie był tak tłumny, jak w Toruniu. Ważny to moment w pracy Oddziału, który przez szerzenie zamiłowania do idei spółdzielczej wśród młodzieży szkolnej, przez właściwe, bo praktyczne, przygotowanie jej do pracy na tym ważnym odcinku naszego życia gospodarczego — skutecznie już dzisiaj realizuje hasło powszechności ruchu spółdzielczego.

Kierownictwo Oddziału spoczywa w ręku Bronisława Karwata — jubilata spółdzielczego o 25-letniej działalności i dwóch jego zastępców Stefana Sobczaka i Mariana Wilczyńskiego. Rada Zakładowa lojalnie współpracuje z Kierownictwem Oddziału, toteż stosunki z pracownikami układają się bardzo dobrze.

(a.)

PROSIMY O ODNOWIENIE PRENUMERATY NA GRUDZIEŃ

Odpowiedzi Redakcji

P. Irena Kwiatkowska — Wrocław, ul. Sienkiewicza 5. Wiersz Pani jest zanadto egotyczny: mamy wątpliwości czy nasi Czytelnicy zainteresują się Pani smutkiem.

P. Józef Sobień — Konin ul. Kurowskiego 10. Nadesłany przez Pana artykuł „Dusza gefangena w jaśniejszym świetle" zawiera wiele cennych uwag, ale nie będziemy mogli go wydrukować, gdyż z powodu dużej ilości materiału nie możemy kontynuować nadal dyskusji o „Duszy gefangena".

P. Czesław Feuerstein — Białogard ul. Kopernika 11. Losowanie nagród odbywa się w Redakcji komisyjnie. Szczęście dotychczas Panu nie dopisało. Prosimy próbować dalej. Za życzenia i pozdrowienia dziękujemy.

P. Julian Pawlak — Grodziec pow. Konin, Spółdzielnia Roln. Handl. „Rolnik". Cieszymy się, że Panu i otoczeniu Pana podoba się nasze pismo. Stale pracujemy nad tym, żeby zarówno pod względem treści jak i szaty graficznej „Tydzień" wyglądał coraz lepiej. Za życzenia dziękujemy.

P. Stefan Josek — Żywiec Zabłocie, ul. Podwale 46. pisze w swym liście do nas: „Tydzień to pismo pełnowartościowe, kształcące tak społecznie jak i gospodarczo, tak naukowo jak i politycznie. Wartość jego szczególnie w obecnych czasach jest wielka... Redakcji „Tygodnia" życzę, aby w jak najkrótszym czasie osiągnęła milionowy nakład tygodniowy. Pracownikom tejże Redakcji życzę, aby praca ich dawała im pełne zadowolenie na myśl, że nie idzie ona na marne, lecz korzystają z niej setki tysięcy czytelników".

Serdecznie dziękujemy Panu za słowa uznania i cieszymy się, że mamy w Żywcu tak szczerych przyjaciół.

P. Marian Kralkowski — Mrągowo (woj. Olsztyńskie) Aleja Wojska Polskiego 2. należy również do przyjaciół naszego pisma, co znajduje wyraz w jego liście. Jednocześnie prosi o „jak najczęstsze zamieszczanie: nowel, opowieści opartych na prawdziwych zdarzeniach, reportaży i innych — na tematy marynistyczne".

W miarę możności postaramy się uwzględnić Pańskie życzenia. W najbliższym czasie wydrukujemy ciekawy reportaż z tego cyklu kpt. marynarki Józefa Bartosika.

P. Anna Nachtmanówna — Wołomin, ul. Warszawska 22.

Przysłowia nie zawsze sprawdzają się, nie należy jednak zrażać się chwilowym niepowodzeniem. Za nowe projekty dziękujemy.

P. Marek Tupalski — Warszawa, ul. Wrzesińska 2 — 5.

Korespondencję można nadsyłać i na kartach pocztowych.

Już dziewiątą?



Pewien jegomość, który podczas wojny dorobił się dużego majątku, słyszał, że do dobrego tonu należy uczęszczanie na muzykę klasyczną. Wybrał się więc na koncert symfoniczny. Przyszedł ze znacznym opóźnieniem, w środku symfonii Bethovena.

— Już się zaczęło? — pyta biletera. Co teraz grają?

— Grają „Dziewiątą symfonię".

— Dziewiątą? Już?.... Nie przypuszczałem że się tak bardzo spóźniłem.

SKLEROZA

ZA NAJLEPSZĄ RZECZ TYGODNIA PRZEZNACZAMY 300 ZŁ NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagrodę 300 zł otrzymała p. Genowefa Wójcik (Warszawa, ul. Narbutta 11 m 5). za nadesłanie wycinka z „Expresu Wieczornego" z dnia 4 listopada br., gdzie w rubryce „Rozmowa z przyjacielem" czytamy:

„Kochany przyjacielu. Mieszkam na Pomorzu zachodnim wraz z żoną, ośmioletnią córeczką i rocznym synkiem. Ponieważ żona moja kończy kursy kroku, a ja pracuję w majątku..."

Może „Przyjaciel" z „Expresu Wieczornego" podałby do wiadomości, gdzie można ukończyć „Kursy kroku" i jakie możliwości daje jego ukończenie. Może to bardzo popłatny fach, tylko tak zakonspirowany, że na pewno, ani Urząd Skarbowy, ani Ministerstwo Przemysłu o nim nic nie wiedzą.

ZANIKA ZNAJOMOŚĆ ŁACINY

W Nr 30 (313) „Szpilek" w „7 dniach chudych" czytamy:

„Bardzo jest niewygodne, że tak zanika znajomość łaciny. Jakże łatwo można określić stosunek narodów europejskich... do planu Marshalla przysłowiem: „Cimeo Danaos dona ferentes". Obawiam się Danaów dary niosących. Dary są potrzebne, pożądane i nęcące, ale jakże mogą stać się niebezpieczne dla słabszych i mniej odpornych".

Słuszna uwaga, że „zanika znajomość łaciny", ale i on sam nie odznacza się jej znajomością, bo odpowiedni cytat z drugiej księgi Eneidy Wergiliusza brzmi:

„Timeo Danaos et dona ferentes".

Owo „et" jest o tyle ważne, że właśnie zmienia sens tłumaczenia na: obawiam się Danajczyków nawet gdy dary przynoszą. Pomijając już to, że timeo pisze się przez „t", a nie przez „c". (nadesłał Jacek Pietrzyk — Oświęcim, ul. Jagiellońska 16 m 3).

JESZCZE JEDNA GAFFA

Na odsłoniętym pomniku ku czci poległych w Kotlinie (pow. Jarocin) czytamy na wstępie:

„Najlepsi synowie Kotlina polegli za wolność z najeźdźcą germańskim".

Smutne to dla Kotlina, że jego najlepsi synowie polegli za wolność razem z germańskim najeźdźcą.

Rozumiemy o co chodziło Kamitetowi budowy pomnika, ale trzeba było napis sformułować po polsku, bez dwuznaczników. Pomnik jest położony przy głównej szosie: Poznań, Kalisz i napis czyta setki osób dziennie. (nadesłał M. Matuszak — Kotlin)

Sprostowanie

W Nr 44/68 chochlik drukarski sprawił, że w rubryce „Skleroza" podano, że „burmistrz Szczecina" chce kozy wsadzać do kozy. Winno być: burmistrz Sulęcina. Prezydenta m. Szczecina za naszą gaffę przepraszamy.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Dnia 1 grudnia br. wejdzie w Szwajcarii do obiegu nowa seria „Pro Juventute", składająca się jak zwykle z czterech wartości: 5 + 5 (z podobizną Jakuba Burckhardta (1818—1897), 10 + 10, 20 + 10 i 30 + 10 (ze stylizowanymi kwiatami alpejskimi). W sprzedaży seria ta będzie do 31 grudnia br., a w obiegu do 31 maja 1948 r.

* * *

Jak donosi prasa zagraniczna, polskie Ministerstwo Poczt rozpisało konkurs na nową serię lotniczą. Wielka szkoda, że o takich faktach musimy dowiadywać się od obcokrajowców.

Przy sposobności nie od rzeczy będzie przypomnieć, co o ostatniej serii czytaliśmy w Nr 2 (z października 1946 r.) „Pocztowca":

„Wprowadziwszy z dniem 10 września do obiegu zielony znaczek lotniczy wartości 25 zł., Ministerstwo Poczt zakończyło wydawanie (od lutego br.) pierwszej serii polskich znaczków lotniczych od... 21 lat! Właśnie równo 21 lat temu, dnia 10 września 1925 r., ukazała się pierwsza i jedyna do bieżącego roku polska seria lotnicza o identycznym nawet motywie (samolot nad Warszawą). Po dwudziestojednoletnim doświadczeniu nie uniknięto jednak starego błędu, wydając serię o jednakowym rysunku, a przez to bardzo nużącą. Nie potrafiliśmy wziąć przykładu ze Zw. Radzieckiego, Włoch, Francji, — czy całego szeregu innych państw, gdzie do znaczków lotniczych przywiązuje się wiele znaczenie, a w wydawanie ich wkłada wiele inwencji i pomysłowości. A szkoda!"

Może w trzeciej z kolei polskiej serii lotniczej stare błędy nie będą nas już prześladowały.

* * *

Austriacka „Neue Samlerschau" wypuściła w tych dniach nadzwyczajne wydanie swego pisma, poświęcone olbrzymiej aferze fałszerskiej, której dopuścił się we Francji Jean de Speratis. O bliższych szczegółach tej historii, która już dzisiaj nazywana jest największym fałszerstwem na świecie, poinformujemy naszych Czytelników w najbliższej przyszłości.

Witold J. Orłowski

KONKURS GWIAZDKOWY

NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

W dniu dzisiejszym ogłaszamy „Konkurs Gwiazdkowy" na rozrywki umysłowe, który zakończy się dnia 21 grudnia br.

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia" Warszawa, ul. Szpitalna 5 m 8 do dnia 5 stycznia 1948 roku. **Na nagrody** przeznacza Redakcja wartościowe książki. Za najlepsze zadania autorskie przyznane będą specjalnie wartościowe nagrody. Prosimy więc o nadsyłanie ciekawych projektów.

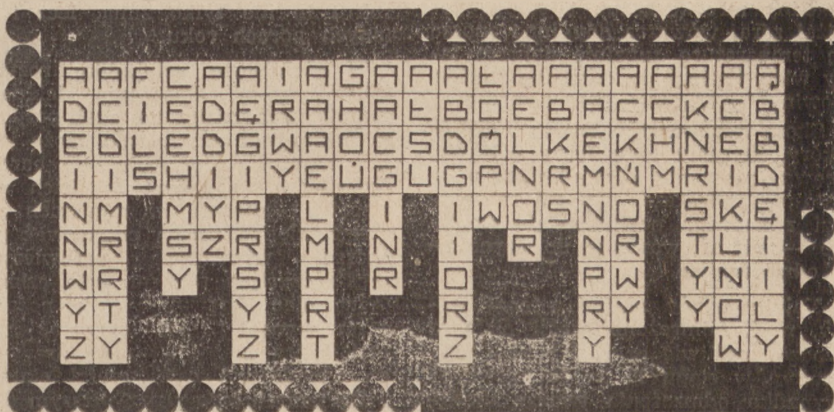
ZADANIE LITERACKIE

W danej figurze należy głoski w pionowych rzędach poprzestawiać w ten sposób, aby otrzymać 21 tytułów dzieł niżej wymienionych pisarzy.

Środkowy rząd poziomy da nam na zwisko poety polskiego, zaś czarne pola, ułożone w odpowiedni sposób, — tytuł jego dzieła.

Pisarze: 1. E. Zegadłowicz. 2. A. Nowaczyński. 3. S. Klonowicz. 4. M. Gawalewicz. 5. A Mickiewicz. 6. Wł. Reymont. 7. H. Sienkiewicz. 8. J. I. Kraszewski. 9. J. Słowacki. 10. Z. Nałkowska. 11. Wł. Syrokomla. 12. B. Prus. 13. K. Iłłakowiczówna. 14. K. Kaden - Bandrowski. 15. L. Staff. 16. K. Tetmajer. 17. A. Dygasiński. 18. E. Orzeszkowa. 19. K. Hoffmanowa. 20. St. Otwinowski. 21. M. Rodziewiczówna.

Erazm Grójnacki



NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Zagadkę piętnastą, zamieszczoną w Nr 45 (69) „Tygodnia" rozwiązało bezbłędnie 437 osób. Rozwiązanie brzmi:

„Nie taki diabeł straszny, jak go malują"

Za miłe listy bardzo dziękujemy i prosimy o dalszą współpracę z nami oraz o nadsyłanie uwag i życzeń pod adresem Redakcji.

W drodze losowania otrzymali.

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Władysław Bukowski — Myślenice, Kazim. Wielkiego 115.
Ryszard Ejczelkrant — Ostrów Mazowiecki, Pl. Pierackiego 7 (Społem).
Józef Pacholczyk — Bełchatów (Mleczarnia).
Danuta Kantorowicz — Wrocław, ul. Jutrzenki 2 — 1.
Stanisława Pacholak — wieś Królików, poczta Grodziec, pow. Konin.
Jerzy Ratkowski — Nowe Miasto Lubawskie, ul. Pod Lipami 16.
Jerzy Lusiak — Białogard, ul. Roli - Żymierskiego 44.
Olga Baran — Kol. Swirna, poczta Ostrowiec Świętokrzyski.
Stefan Josek — Żywiec Zabłocie, ul. Podwale 46.
Marian Kralkowski — Mrągowo (woj. Olsztyńskie) Al. Wojska Polskiego 2.

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"

Rena Bartoszewicz — Opoczno, Pl. Kilińskiego 13.
Krystyn Grabowski — Tczew, ul. Dworcowa 94.
Krystyna Senczek — Gdańsk — Wrzeszcz, Dworzec P.K.P.
Anna Sokołowska — Warszawa, Słowackiego 15/19 m 93.
Zofia Kosmalowa — Swarzędz, ul. Rynek 18.
Jadwiga Witkowska — Wólka Zamkowa, poczta Drohiczyn n/Bugiem.
Maria Garska — Wejherowo, ul. Kościuszki 7.
Bogumiła Rudasiówna — Lublin, ul. Króla Leszczyńskiego 8/6.
Janina Szyjkowska — Chełmno, ul. Parkowa 5.
Karol Węgierski — Jelenia Góra, ul. Klonowicza 3.
Franciszek Żbikowski — Lublin, ul. Górna 4 — 9.
B. Filipiak — Warszawa, ul. Brukowa 30 — 54.
Krystyna Machuderska — Łódź, ul. Wólczańska 96 — 12.
Bohdan Cywiński — Wrocław, ul. Smoluchowskiego 34 — 12.
K. Ciźmowski — Tuchola, Szosa Bydgoska 7.
Leon Ferens — Kędzierzyn, ul. Sobieskiego 20, pow. Koźle.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.



Powyżej podajemy zagadkę Nr 17, za rozwiązanie której, Redakcja przeznacza:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH ORAZ 10 NAGRÓD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa dnia 1 grudnia br.

OFIARA

Pracownicy Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Łodzi (Wydział Inspekcji), zamiast kwiatów w dniu Imienin Prezesa Zarządu P. S. S. kol. Tadeusza JANCZYKA, złożyli zł 3.000 (trzy tysiące) na Fundusz Stypendialny im. R. Mielczarskiego".

Przykład godny naśladowania. Przypominamy, że Fundusz Stypendialny im. R. Mielczarskiego posiada konto Nr 165 w B. G. S. Oddział Wojewódzki w Warszawie.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień".
Redaguje: Zespół redakcyjny.
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa Szpitalna 5 m. 8.
Redaktor przyjmuje w czwartki płatki i soboty od 10—12
TELEFONY: Redakcji 86-164
Administr. 88-715
Redakcja rekopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna 75 zł, kwartalna—450 zł, roczna 900 zł.
Konto PKO Warszawa Nr 1-4766
Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr 107.
Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.
W kolorze — 50% drożej.
R. S. W. „PRASA". Z. G. W-wa, Smolna 12
Druk okładki wykonały Zakłady Wklęsłodrukowe R.S.W. „Prasa" — Warszawa.
B-41320

TYDZIEŃ Kobiety

REWIA MODY W ŁODZI

Jakie są nakazy mody w tym sezonie? — na to pytanie, dręczące wszystkie kobiety, te — które posiadają dużo pieniędzy i te — które muszą się ubrać ze swoich skromnych pensji — przyniosła odpowiedź jesienno - zimowa rewia mody, która odbyła się w ubiegłą niedzielę w wypełnionej po brzegi publicznością sali Teatru Wojska Polskiego w Łodzi.

W rewii wzięło udział szereg firm prywatnych, reprezentowana była także spółdzielczość. Modele nie ustępujące w elegancji i wykonaniu modelom firm prywatnych pokazały: Powszechna Spółdzielnia Spożywców w Łodzi, „Kuśnierz" — Spółdzielnia pracy kuśnierskiej, „Czuj - Czyn" — Spółdzielnia Harcerska. Wśród wystawców znalazło się także gimnazjum krawieckie „Przezorność".

Przy dźwiękach muzyki, w światłach reflektorów przedefilowało przed widownią mnóstwo modeli zimowych, kompletów sportowych, strojów przedpołudniowych (kostiumy, płaszcze, suknie), wreszcie—wieczorowych i balowych. Nie brakło też sukienek dziecięcych, wykonanych przez PSS i gimnazjum krawieckie.

Firmy prywatne większą uwagę tym razem — niż na zeszłej letniej rewii mody — zwróciły na praktyczność i dostępność prezentowanych strojów dla zwykłych śmiertelniczek. I tak jedna z firm pokazała elegancki płaszcz jesienny uszyty z koca. Widzieliśmy też ciekawe kombinacje z materiału i futra — przeróbki ze starych płaszczów i kawałków skór.

Gimnazjum krawieckie „Przezorność" i Spółdzielnia Harcerska „Czuj - Czyn" wystawiały wyłącznie modele ubiorów sportowych, a więc — kostiumy do jazdy na nartach (dla mężczyzn i kobiet), do roweru, na motocykl.

Dobrze się stało, że spółdzielczość bierze udział w rewiach mody, gdyż prezentując stroje praktyczne, wykonane z materiałów niekosztownych daje tym samym możliwości modnego i eleganckiego ubierania się dziesiątkom tysięcy kobiet, których fundusze są ograniczone.

Rewia mody przyniosła publiczności szereg miłych niespodzianek w postaci kuponów materiałów, kompletów bielizny itp., darów wystawiających na rewii firm i spółdzielni, które zostały rozlosowane wśród widzów.

W części artystycznej rewii wystąpili: Mary Didur-Załuska, która na zaproszenie Czerwonego Krzyża specjalnie przybyła z Poznania i Mikołaj Mecnerwski ,tenor praskiej operetki, Polak, który po przeszło 30-tu latach spędzonych w Czechosłowacji przeniósł się na stałe do Polski.

Rewia zorganizowana była przez opiekunki społeczne przy PCK, oddział w Łodzi i całkowity dochód przeznaczono na potrzeby PCK.

W. Nałęcz.

10 przykazań urody

Max Factor, „wielki mag" sztuki kosmetycznej, który od roku 1909 zbliska obserwuje świat filmowy Hollywoodu ujął wyniki swych doświadczeń zawodowych w swego rodzaju „10 przykazań urody" dla płci pięknej:

1. Należy starać się dyskretnie podkreślać swój wdzięk osobisty. Nie należy naśladować wyglądu swych sąsiadek lub gwiazd filmowych.

2. Bezwzględna czystość jest fundamentem urody.

3. Powinno się dokładnie poznać swój naturalny odcień cery i kierować się nim przy wyborze odcieni szminek.

4. Nie należy traktować fryzury jako jedynie masy włosów, otrzymanych od matki matury. Może ona — i powinna być — starannie dobraną ramą dla rysów twarzy.

5. Nie należy nigdy nadużywać szminek.

6. Nie należy się szminkować lub czesać w miejscach publicznych, i jedno i drugie jest przykre dla otoczenia.

7. Nie wolno zapominać o pielęgnacji rąk. Źle utrzymane ręce nawet przy najpiękniejszej twarzy — to przykry i rażący dysonans.

8. Należy unikać zbyt egzotycznych efektów przy szminkowaniu twarzy. Tylko nieliczne osoby mogą sobie na to pozwolić.

9. Kobiety powinny pozwalać swym mężom i ukochanym dobierać dla siebie perfumy. Bądź co bądź przecież perfumy są w znacznej mierze dla nich stosowane.

10. Powinno się również starannie unikać szarlatanów w kosmetyce, jak i w medycynie. „Najlepsze na świecie kosmetyki profesora X" są często również szkodliwe i bezwartościowe, jak „środki profesora Y" na bezsenność, raka i zmarszczki pod oczyma.

Aforyzmy o kobiecie

Tylko kobieta potrafi żyć sercem i umrzeć z miłości.

Arsène Houssaye

Z liczby całusów żegnających się kobiet poznać można jak dalece się nienawidzą.

Placyd Jankowski

Jest jeszcze coś rozkoszniejszego niż piękna kobieta: piękna i skromna.

Pytagoras

Miłość ciężka choroba; ja, choć nie miłuje,
Ale żem niegdyś kochał, przeto boleść czuje.

J. Kochanowski

Skromność oddaje kobietom nieocenione usługi i podnosi piękność a zasłania brzydotę.

Fontenelle

O odmrożeniach

Zimą, którą mamy za pasem, nie trudno o odmrożenia, zwłaszcza tych części ciała, które bezpośrednio ulegają wpływom niskiej temperatury powietrza, lub też są najbardziej odległe od serca, jako centralnego narządu układu krwionośnego.

Dlatego też najczęściej ulegają odmrożeniom palce rąk i nóg, następnie — nos, uszy itd. Nie ulega wątpliwości, że obok działania niskiej temperatury w powstawaniu odmrożeń odgrywają jeszcze rolę i inne czynniki, jak np. ogólna niedokrwistość, błednica, gruźlica i wreszcie pewna skłonność osobnicza, uzależniona od budowy samych naczyń krwionośnych, od właściwości układu nerwowego itp. Wiemy dobrze, jak niektóre osoby silnie reagują na łagodny mrozik 2 lub 3 stopni poniżej zera, wówczas gdy inne znoszą tę temperaturę zupełnie dobrze; tacy więc, skłonni do odmrożeń ludzie, powinni szczególnie dbać o siebie.

Skoro tylko wystąpi zaczerwienienie skóry, któremu towarzyszy ból miejscowy, pieczenie i swędzenie, a to ostatnie zwłaszcza, gdy się przechodzi z zimnego powietrza do ciepłego — mamy wówczas do czynienia z odmrożeniem.

Należy wtedy unikać zimnej wody, myć, odmrożone części ciała w wodzie możliwie gorącej rano i wieczorem w ciągu 15 do 20 minut. W wypadku odmrożenia twarzy wyciera się ją tamponami z waty, namaczanymi w gorącej wodzie o temperaturze 35—40 stopni. Do kąpieli dodaje się kory dębowej, ałunu lub octanu glinowego. Po umyciu wskazany jest masaż. Na noc wciera się w skórę łagodną maść lub krem z ichtiolem, kamforą, balsamem peruwiańskim, chlorkiem bielącym itd.

Aby zapobiec odmrożeniom, nie należy używać wywierających ucisk rękawiczek i nosić ciasnego obuwia, gdyż wszelkie czynniki, które utrudniają krążenie krwi, sprzyjają powstawaniu odmrożeń. Natomiast wskazane jest noszenie rękawiczek wełnianych lub futrzanych, ciepłych pończoch oraz wygodnego, szerokiego obuwia.

Odmroziny mają skłonność do nawrotów i mogą się powtarzać co rok i to nie tylko zimą, lecz i w innych porach roku.

W niniejszym artykuliku rozważaliśmy tylko odmrożenia lekkiego stopnia. Schorzenia na ogół pospolite, jakim jest odmrożenie, może jednak niekiedy prowadzić do bardzo poważnych, a nawet ciężkich następstw, bowiem w miejscach zaczerwienionych mogą powstawać pęcherze, wypełnione surowiczym przeźroczystym płynem, całe członki mogą ulec obrzękowi, a w najgorszym wypadku może powstać zgorzel, która niejednokrotnie prowadzi do odpadnięcia całej części ciała.

Do tematu tego w najbliższym czasie jeszcze powrócimy.

ODŻYWIANIE NIEMOWLĄT

Przed przyjściem na świat noworodek znajdował się w warunkach idealnych pod względem czystości, ciepła, wygody i odżywiania — zupełnie zrozumiała jest więc konieczność dostrzczenia „już urodzonemu" takich warunków bytu, wśród których mógł by się należycie rozwijać — bez jakiegokolwiek uszczerbku dla swej drobnej osoby. Naturalnie w obecnych czasach powojennych nie zawsze jest to łatwe, szczególnie ze względu na b. ciężkie warunki mieszkaniowe w wielu zniszczonych ośrodkach miejskich.

Jednakże pomimo wielu niesprzyjających okoliczności, postarajmy się respektować kilka zasad, które należą do zasadniczych warunków należytego pielęgnowania niemowlęcia. Mamy tu na myśli: a) spokój, b) czystość, c) porządek i dokładność w pracy pielęgniarskiej, d) właściwe odżywianie.

Zacznijmy od sprawy bodaj najistotniejszej — odżywiania małego obywatela.



Pokarm kobiecy jest najwłaściwszym naturalnym pożywieniem niemowlęcia i każda matka powinna bez warunkowo karmić, gdyż w ten sposób ustrzeże swoją pociechę od wielu chorób, bowiem pokarm matczyny zawiera prócz — praktycznie biorąc — pożywienia — jeszcze substancje uodparniające przeciwko szeregowi chorób zakaźnych.

Przeciwwskazaniem do karmienia może być jedynie ciężka choroba matki, jak zakażenie połogowe, psychoza, przy czym gorączka sama nie jest jeszcze dostateczną przyczyną do niekarmienia. Absolutnym przeciwwskazaniem do karmienia jest czynna gruźlica. Podczas grypy lub kataru należy poczynić szereg ostrożności, gdyż niemowlę może się łatwo tymi chorobami zarazić, a są to choroby dla niemowląt dość poważne. W takich wypadkach najlepiej dziecko od matki odizolować, a podczas samego karmienia matka powinna nosić ochronną maskę muślinową.

Prócz powyższych przeszkód mogą powstawać inne — czysto mechaniczne, jak np. wklęsłe brodawki, często wprost uniemożliwiające procedurę karmienia. Kobiety o wrażliwej skórze łatwo ulegają stanom zapalnym piersi, na skutek uszkodzeń brodawki, spowodowanych zbyt gwałtownym ssaniem. Zapalenia te spotykamy najczęściej przy karmieniu pierworodnych". Początkowe więc karmienie przez „kapturek" jest o wiele bezpieczniejsze i najlepiej od tego zaczynać. Można też przed samym porodem brodawki przez zahartowanie odpowiednio przygotować i wzmocnić. W ogóle, początkowo przy karmieniu mogą powstawać pewne trudności, z racji niedoświadczenia i niezaradności matki oraz noworodka, jednakże „partnerzy" szybko dochodzą do wprawy i proces karmienia przechodzi już dalej gładko i bez przeszkód. Podczas karmienia noworodek (i w ogóle niemowlę) winien mieć dostateczną ilość powietrza do oddychania: w tym celu matka niech wolną ręką pierś od noska nieco odsuwać. Do karmienia należy siadać wygodnie — z oparciem dla pleców.

Dobrze jest każdorazowo przed karmieniem zlekka zmyć brodawkę słabym roztworem kwasu bornego.

Pierwszego dnia po urodzeniu — w ciągu pierwszych 12 godzin — można nie karmić, należy jednak w ciągu następnych 12 godzin przyłożyć niemowlę do piersi 1 — 2 razy. Drugiego dnia przykładamy 4 — 5 razy, trzeciego — 5 — 6 razy. I tak dalej — po 6 razy dziennie.

Od 3 — 4 tygodni wystarczy karmić w ciągu doby 6 razy; naturalnie, gdy pokarmu jest dużo może nawet wystarczyć 5-krotne karmienie.

Nocną przerwę, trwającą zazwyczaj od 6 do 8 godzin, zaprowadzamy dla porządku odrazu.

Zdrowe niemowlę wysysa przeciętnie na dobę:

w 1 tygodniu życia do 470 gr.
w 4 „ „ „ 600 gr.
w 12 „ „ „ 850 gr.
w następnych tygodniach do 1000 gr.



Należy się trzymać reguły karmienia za każdym razem tylko z jednej piersi i nie z tej samej w bezpośredniej kolejności, lub — co jeszcze gorsze — w jednym terminie z obydwu piersi na zmianę. Przeciętne ssanie trwa 15 — 20 minut i w warunkach normalnych powinno najzupełniej wystarczać.

Gdyby w pierwszych dniach pokarm ukazywał się w ilości niedostatecznej, nie należy się przerażać, trak tując sprawę spokojnie, gdyż właściwie pierś zaczyna funkcjonować należycie i sprawnie dopiero po 2—3 tygodniach, z czego wynika, że nie wolno przed tym terminem wyciągać wniosków co do „zdolności produkcyjnej".

Największe zapotrzebowanie pokarmu podkreśla mały człowieczek między 6 — 12 tygodniem: w tym też okresie notujemy stosunkowo największe przyrosty wagi niemowlęcia.

Dr B. M.

MODA w malignie





REWOLUCJA W MODZIE! I to nie byle jaka — arbitralna, wrzaskliwa, miażdżąca „wszystko co już było", rwąca na strzępki „konwencje i banały przestarzałej linii"... Takie są tej obecnej rewolty górne zawołania i takie dalekosiężne cele. Nie chodzi tu tylko o jakieś tam dłuższe sukienki, bo jest to jedynie drobny detalik w obszernym programie radykalnego przewrotu.

— Jak będziemy wyglądały? Co będzie? Jak będzie? — trzęsie się i denerwuje rodzaj damski na obu półkulach, wsłuchany w pomruki paryskiego tornada.

Odpowiedź na te dręczące pytania można już teraz w pewnym stopniu przewidzieć, chociaż paryscy „grands créateurs" śpiewają dopiero pierwsze strofki swej surrealistycznej karmanioli.

A więc, rewolucja da — proszę Pań — ogromnie dużo mętnego dymu, odkryje kopalnie humoru, wywoła huragany serdecznego śmiechu... Za tę kapitalną zabawę otrzyma drobne odszkodowanie w postaci podłużonych o kilka centymetrów sukienek. Za wesoły spektakl będziecie więc, Panie, musiały coś nie coś zapłacić... własnymi zgrabnymi nóżkami.

Dlaczego aż z taką pewnością przepowiadamy generalną „klapę" tej nowej imprezie paryskiej „haute couture'y?".

Odpowiecie Panie sobie same po dokładnym przyjrzeniu się tzw. modelom na stronie niniejszej. To wcale nie jakieś humorystyczne rysownicze produkcje w rodzaju „Kamyczka" czy „Ha-gi", ale śmiertelnie poważne wzory rewolucyjnych idei, z markami takich „maisonów", jak: Paquin, Lelong, J. Fath, Nina Ricci, Balenciaga itd. itd.

Prosimy nas nie posądzać o jakąś złośliwą mistyfikację: modele są najzupełniej autentyczne, „żywcem" wzięte z ostatnich numerów czołowych paryskich pism modniarskich — „Vogue" i „Figaro".

— Doktora! Doktora! — bo moda jest chora i bredzi w piekielnej gorączce...



























Moeckel Karl Ernst — kierownik administracyjny obozu, w którym stworzył straszliwe warunki, powodujące masową śmierć więźniów.



Kraus Franz — oficer informacyjny SS, stworzył system nieludzkich tortur podczas przesłuchiwania więźniów.



Dr Muench Hans — lekarz SS. kierował do komór gazowych, wykonywał szereg doświadczeń na ciałach nieszczęsnych więźniów.



Seufert Karl — „Blockfuehrer" i dozorca aresztu, niesłychany sadysta, którego specjalnością była wyrafinowana, zabójcza „gimnastyka".



Müller Karl Hugo — znęcał się nad więźniami na każdym kroku bijąc bykowcem, szczując psami i kopiąc w brzuch.

Upiory Oświęcimia



Latsch Otto — „Rapportfuehrer", znęcał się nad więźniami drogą systematycznego głodzenia i zmuszania do nadmiernej pracy.



Ludwig Herbert Paul — „Blockfuehrer", ulubioną przez niego torturą były wielogodzinne stójki.

Dnia 24 bm. rozpocznie się przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Krakowie proces przeciwko 40 zbrodniarzom niemieckim — członkom załogi obozu zagłady w Oświęcimiu.

Rozprawie przewodniczy prezes NTN, dr Alfred Eimer, przy udziale sędziów: Zembatego, Kutznera i Cieśluka. Oskarżają: pierwszy prokurator Kurowski, prok. dr Cyprjan oraz prok. prok. Gacki, Szewczyk, Pęchalski i Brandys. Oskarżonych broni z urzędu 9-ciu wybitnych adwokatów.

W toku przewodu przesłuchanych będzie około 200 świadków różnych narodowości, byłych więźniów Oświęcimia. Szczególnie sensacyjnie zapowiadają się zeznania jako biegłego — generała Armii Czerwonej, Kudriawcewa, b. przewodniczącego Mieszanej Komisji Polsko - Radzieckiej do badania zbrodni niemieckich.

Wśród oskarżonych czołowe miejsca zajmują: arcyłotr, komendant obozu w okresie od 11.11.1943 r. do 8.5.1944 r. — Artur Liebehenschel, Max Grabner — kierownik oddziału politycznego, decydujący o losie więźniów, Hans Aumeier — zastępca komendanta obozu Hoessa, powieszonego wyrokiem NTN w Warszawie, K. E. Moeckel — kierownik administracyjny oraz Maria Mandel — komendantka obozu kobiecego.

Pozostali ludobójcy, mniej znani społeczeństwu polskiemu, mają na sumieniu niezliczone, potworne zbrodnie, za które obecnie poniosą zasłużoną karę.



Bogusch August Rajmund — „Blockfuehrer", potwór w ludzkim ciele, dążący do wyzucia z więźniów wszelkiej wartości moralnej i godności ludzkiej.



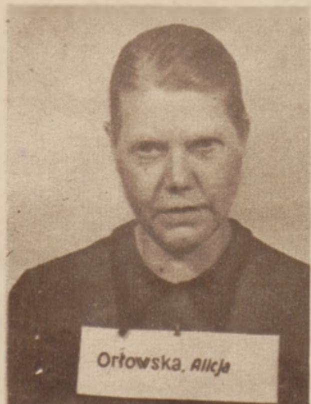
Lechner Anton — konwojent transportów, stwarzający przywiezionym do obozu więźniom piekło na ziemi.



Szczurek Paul — „Blockfuehrer", specjalista od łamania palców. Z własnej inicjatywy uczestniczył przy rozstrzeliwaniu więźniów.



Lächert Hildegard — dozorczyni, maltretowała więźniarki, usiłując zabić wszelkie odruchy szlachetności.



Orłowska Alice — dozorczyni, wyrafinowana sadystka, przeprowadzała selekcję więźniarek, skazując je na śmierć w komorze gazowej.



Danz Luize Helene — dozorczyni, lat 30, znęcała się nad więźniarkami, stosując wyrafinowane metody bicia.



Hoffman Hans — podoficer SS z własnej inicjatywy nakłaniał oficerów SS i lekarzy do przeprowadzania selekcji. Specjanością jego była tzw. „huśtawka"



Breitwieser Artaur — zastępca kierownika magazynów, zajmował się eksploatacją zwłok więźniów, zgładzonych w komorze gazowej przez wyjmowanie złotych koron.



Medefind Adolf — zastępca szefa magazynu, nieludzki sadysta, zmuszający więźniów do nadmiernej pracy.



Dinges Erick Adam Oskar — szofer obozu, znęcał się nad więźniami, przywożonymi do obozu.



Weber — członek załogi odznaczający się brutalnością, mordował ludzi z byle powodu.



Buntrock — członek załogi, zmuszał więźniów do chodzenia boso po śniegu.